

na

WINNICY

ISSN 2544-2880



700-LECIE UZYSKANIA PRAW MIEJSKICH

Zielona Góra





Grünberg in Schlesien na początku XX w.

Prace ze zbiorów
Muzeum Ziemi Lubuskiej
w Zielonej Górze



Rodem spod Winnego Wzgórza

W NUMERZE:

<i>Wokół ratusza</i>	
Grünberg in Schlesien na początku XX w.	2
<i>Od redakcji</i>	
Rodem spod Winnego Wzgórza	3
<i>Nad Złotą Łączą</i>	
Zielona Góra była lokowana na wzór Krosna	4-6
Kroniki i kronikarze miasta średniej wielkości	7-8
<i>Widok z góry</i>	
Na kartoflisku powstało centrum gospodarcze	9-12
<i>Nagrody za twórczość</i>	
Gala z Winiarką w głównej roli	13-14
Koty nie piją whisky	15-18
<i>Omówienia</i>	
Rejs artysty uzupełnianego	19
Powieści o tym co było i do czego może dojść	20
Ponad 30 lat miejskich spraw na 804 stronach	21
Nasze rewiry winiarskie i pisarskie	22
<i>Ponad słowami</i>	
Od tygodnika do dziennika który pogrążyła loteria	23
Prymuska polskiego kabaretu	24-25
Wszystkie obrazy traktuję jak swoje dzieci	25-26
<i>Portret</i>	
Prezes stowarzyszenia nieposzlakowanych Polaków	27
Humanista który był rektorem i wojewodą	28-29
<i>Adres</i>	
Ul. Lubuska 2	29-30
<i>Jak zostałem zielonogórzaninem</i>	
Tu czuję się jak w swoim domu	31-33
<i>Sport</i>	
Jak rodził się studencki ośrodek jeździecki	34-35
Żużel w Winnym Grodzie to znak popkultury	36-37
Lechia – Legia 0:3	37
<i>Kronika</i>	
Od jesieni do wiosny	38
<i>Blisko ratusza</i>	
Spotkania z autorami monografii	39
<i>Gdzie indziej</i>	
Mają ten dom na długo czy na krótko?	40

Przed laty największa w regionie gazeta organizowała konkurs na Lubuszanina Roku. Wtedy tytuł otrzymywali nie ci, którzy wystali najwięcej sms-ów, a ci, którzy wyróżnili się czymś naprawdę wartościowym.

Gdyby taki konkurs przeprowadzić w roku 700-lecia nadania praw miejskich i wziąć pod uwagę wyłącznie urodzonych w Grünbergu/Zielonej Górze, kto zostałby zwycięzcą? Oto moi faworyci.

Nicolaï Fabri Viridimontanus Polonus (1447-1516) – teolog katolicki, który był rektorem uniwersytetu w Wittenberdze. Marcin Luter napisał, że „z łatwością posługuje się alegorią i obrazami zmysłowymi w kazaniach swoich, ludowi to się podoba”.

Abraham Scutellus (1556-1624) – teolog kalwiński, pomysłodawca Święta Reformacji. Uważa się go za tego, który doprowadził do wyboru palatyna reńskiego na króla Czech Fryderyka V. Przypisuje mu się wydanie nakazu usunięcia katolickich znaków z czeskich kościołów, co było jednym z powodów bitwy na Białej Górze i detronizacji Fryderyka V, zwanego królem zimowym.

Tadeusz Kuntze, Konicz, znany też jako Taddeo Pollacco (1727-1793) – artysta tworzący w Krakowie i Rzymie. Uważany za jednego z najwybitniejszych malarzy XVIII wieku. Kopie jego prac znajdują się w Muzeum Ziemi Lubuskiej.

Wilhelm Foester (1832-1921) – rektor berlińskiego uniwersytetu, przewodniczący Międzynarodowego Komitetu Miar i Wag w Paryżu, współinicjator budowy Wieży Braniborskiej. Współodkrywcą planetoidy Erato. Jest patronem planetoidy Foester.

Otto Julius Bierbaum (1865-1910) – prozaik, poeta, dramaturg, satyryk. Uważany za prekursora niemieckiego kabaretu. Jego zbiór wierszy miłosnych, frywolnych i moralizatorskich „Irrgarten den Liebe” sprzedał się w nakładzie ponad stu tysięcy egzemplarzy.

Albert Severin (1851-1934) – pierwszy architekt miejski i szef policji budowlanej. Projektant m.in. starego budynku filharmonii, kompleksu szpitalnego przy Wazów, szkół przy Długiej i Chopina, Wieży Bismarcka w Wilkanowie, placu Bohaterów, parku Piastowskiego. Zbieracz pamiątek, które dały początek Muzeum Ziemi Lubuskiej.

Galerię polskich zielonogórzan otwiera Maryla Rodowicz (1945-) – piosenkarka, aktorka i lekkoatletka, uważana za ikonę polskiej muzyki rozrywkowej. Honorowa Obywatelka Zielonej Góry.

Ryszard Peryt (1947-2019) – aktor i reżyser. Był dyrektorem artystycznym Sceny Operowej Teatru Narodowego w Warszawie i Polskiej Opery Królewskiej. Jako jedyny na świecie zrealizował wszystkie dzieła sceniczne Wolfganga Mozarta.

Włodzimierz Kwaśniewicz (1947-) – historyk bronioznawca, pisarz, twórca Lubuskiego Muzeum Wojskowego w Zielonej Górze z siedzibą w Drzonowie. Honorowy obywatel Zielonej Góry i Świdnicy.

Andrzej Huszcza (1957-) – żużlowiec, wielokrotny mistrz Polski indywidualnie i z Falubazem. Honorowy Obywatel Zielonej Góry. Postać z pomnika przy al. Niepodległości.

Oskar Zięta (1975-) – architekt, twórca formowania ciśnieniem wewnętrznym, uważanego z najnowsza metodą obróbki stali. Jego prace są w muzeach w Paryżu, Zurychu, Karlsruhe, Zielonej Górze. Obiecał wykonać pomnik z okazji 700-lecia nadania praw miejskich, który stanie na pl. Piłsudskiego.

Alfred Siatecki

naWINNICY

Stowarzyszenie Miłośników Zielenogórzy



Redagują:

Alicja Błażyńska, Alina Polak-Woźniak, Alfred Siatecki – redaktor naczelny, Sylwester Woźniak.

Projekt winiety – Waclaw Serdeczny. Projekt layoutu, skład i tkanie – Emilia Cwiłńska. Druk – Oficyna Wydawnicza UZ

Numer zamknięto 28 lutego 2023 r.

Adres do korespondencji

65-093 Zielona Góra, ul. Lisia 37, e-mail: tmzg-winnica@o2.pl, www.tmzg.org.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo skrótnego i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość wykorzystania publikowanych materiałów na stronie internetowej TMZG „W”. Za treść zamieszczonych reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponsorowanych redakcja nie odpowiada.



ISSN 2544-2811

Zielona Góra była lokowana na wzór Krosna

Możliwe, że w 1323 r. książę głogowsko-żagański Henryk IV Wierny nadał Zielonej Górze pełne prawa miejskie. Wynika z ocalałych informacji, że proces powstawania miasta odbywał się etapowo – najpierw prawo targowe, jurysdykcja gminna, a następnie prawo do fortyfikacji i na końcu prawo miejskie. Przyjmuje się, że Zielona Góra była lokowana na wzór Krosna Odrzańskiego.

Obchodzone rocznice lokacji miast na Środkowym Nadodrzu to nie tylko okazja do świętowania wydarzenia o charakterze lokalnym, ale uświadomienia sobie naszej przynależności do wspólnoty cywilizowanej. Wcześniej greckie „polis”, a następnie rzymskie „civitas” to wspólnoty obywateli wolnych (ktoś, kto nie jest niewolnikiem), bo łacińskie „civilitas” to poczucie obywatelskie. Miasta skupiają i sprzyjają twórczym działaniom człowieka, tu powstają dzieła sztuki, zachodzą przemiany religijne, różne odmiany kultury, handlu i technologii. Tu człowiek czuje się wolnym. „Powietrze miejskie czyniło człowieka wolnym” – mówi stare europejskie powiedzenie. No i wreszcie, to miasto dawało bezpieczeństwo, kiedy osłabły inne formy obrony ludzi.

Wszystko dotyczące naszej cywilizacji zaczęło się w Ericu, gdzie powstało pierwsze miasto-państwo sumeryjskie. Tam bowiem „królestwo cywilizacji zostało spuszczone z nieba”, jak powiada „Lista królów sumeryjskich”. Właśnie Sumer jest kolebką miast, które przez Grecję i Rzym dotarły do Europy. Wszędzie tam funkcjonowały miasta-państwa, a największym z nich było miasto Rzym, od którego wywodzi się nazwa całego imperium. Upadek Rzymu zatrzymał na pewien czas rozwój miast w Europie.

Najazdy Normanów, Germanów, Hunów i Węgrów, a także przemiany klimatyczne przyczyniły się do ożywienia gospodarczego na bazie rozwoju trójpolówki, co spowodowało, że miasta odrodziły się, ale o innym już charakterze. Najpierw w formie oppidów, które istniały już od połowy II wieku p.n.e. do połowy I w. p.n.e., głównie na terenach Brytanii. Były to przede wszystkim celtyckie osady obronne, ale ich wzorce upowszechniły się w różnych częściach Europy. W odróżnieniu od miast starożytnych, które były otwarte, ale nastawione na rywalizację,

ośrodki średniowieczne wykształciły się z zamkniętych, obronno-wojowniczych jednostek. Zastąpione miejskimi murami obronnymi z większą integracją wewnętrzną w postaci komuny, a także zewnętrzną, czyli własną armią. Wynikało to z tego, że nowe technologie, często chronione przed kradzieżą, doprowadziły do nadwyżki produkcji, którą można było sprzedać. Wzrosło znaczenie własności intelektualnej a także miejsca i pojęcia targ, pod którym w średniowieczu rozumiano jedno- albo kilkudniowe transakcje towarowo-pieniężne. Targ tym właśnie różnił się od jarmarku, że często miał zasięg ogólnokrajowy. Targi łączono z jednym – najbardziej przez ludność uczęszczanym – świętem kościelnym. Z reguły związane to było z konkretnym świętym, patronem określonego kościoła. Stąd wywodziły się ich nazwy, na przykład Jarmark św. Michała.

Wójt był w mieście przedstawicielem właściciela (pana) miasta. Zarządzał miastem w jego imieniu i sprawował sądy według surowego prawa magdeburskiego.

Później targi rozwijały się w dogodnych punktach geograficznych, a kupcom przyznawano często przywileje w związku z ich uczestnictwem w tych wydarzeniach. Przywileje dotyczyły przede wszystkim podróży i ochrony miejsca targów. W tym czasie szczególnego znaczenia nabierały kupieckie praktyki dotyczące bezpieczeństwa terminów spłaty kredytów, w także sposobów płatności bezgotówkowej.

Ochrona tajemnic produkcji, sposoby transakcji i płatności doprowadziły do powstania prawa handlowego, które można dostrzec już w Amalfi, dawnej kolonii rzymskiej, mieście położonym

na przecięciu szlaków handlowych: bizantyjskiego, arabskiego i zachodnioeuropejskiego. Kupcy z Amalfi posiadali liczne przywileje w miastach obszaru śródziemnomorskiego (Konstantynopol, Antiochia, miasta Sycylii, Egiptu, Tunisu i Hiszpanii). Byli głównymi dostarczycielami towarów papieżom. Stąd konieczna stała się pierwsza we Włoszech i Europie kodyfikacja prawa handlowego i morskiego zwana Tablicami z Amalfi.

Miasta zdawały sobie sprawę, że ich przetrwanie na kontynencie w ówczesnych warunkach zależy od wewnętrznej siły i zewnętrznej aktywności. Wewnętrzna siła opierała się na dobrze zorganizowanych gminach, które składały przysięgę wzajemnej obrony (zarówno fizycznej, jak i tradycyjnych swobód) oraz między mieszkańcami.

Pierwsze gminy zostały odnotowane pod koniec XI i na początku XII wieku

a następnie stały się powszechnym zjawiskiem. Największy ich rozwój miał miejsce w środkowo-północnych Włoszech, gdzie stały się miastami-państwami opartymi na zasadach demokracji. W Niemczech stały się miastami wolnymi, niezależnymi od miejscowej szlachty.

Owe gminy nazywano komunami, od angielskiego i francuskiego słowa „commune” (włoskie – „comune”). Pochodziło ono od średniowiecznego łacińskiego słowa „communia”, w liczbie mnogiej komuny to wszystko, co wspólne. W Niderlandach niektóre nowe miasta powstały w wyniku handlu dalekosiężnego, gdzie podstawą była produkcja sukna wełnianego. Przykładem może być flandryjskie miasto Brugia, która dorobiła się określania jednej z „kolebek europejskiego kapitalizmu”. W innych miejscach było gorzej, bo miasta były to najczęściej warowne grodziska feudałów, biskupów lub opatów terytorialnych. Inne miasta były po

prostu wsiami targowymi, lokalnymi ośrodkami wymiany.

Korzystający z tych miejsc rzemieślnicy i handlowcy potrzebowali fizycznej ochrony przed bezprawną szlachtą i rycerzami-rozbójnikami czy bandytami. Szukali tej ochrony za murami komunalnymi, ale także dążyli do ustanowienia swoich swobód. Głównie prowadzenia własnych interesów oraz zabezpieczenia przed arbitralnym opodatkowaniem i szykanami ze strony biskupa, opata, szlachcica. Był to długi proces walki o uzyskanie praw, które gwarantowałyby prawo do utrzymywania rynku. Za wszystko trzeba było płacić, bo przywileje były często kupowane po wygórowanych cenach lub przyznawane nie przez lokalną władzę, ale przez króla lub cesarza, mającego nadzieję na pozyskanie miast jako sojuszników w celu scentralizowania władzy.

„civitas”, które oznacza cywilizację miejską. Z północnych Włoch urbanizacja rozprzestrzeniła się na Francję, Niemcy, Hiszpanię i inne kraje. Objęła też Europę Wschodnią, gdzie rozpad Rusi Kijowskiej pozwolił na utworzenie gmin w Republice Nowogródzkiej w latach (1136-1478) i (1348-1510).

Obok komun miejskich ważną rolę odgrywały związki miast, które przejawiały podobną ekspansję w Europie. Ich powstawanie odnotowujemy już w od XII stulecia, wtedy powstaje związek lombardzki, związek saski, związek miast ladbergskich (westfalskich). Siła tego ostatniego tkwiła w ustawach, które regulowały bezpieczeństwo w handlu, komunikacji i rynku. Naruszenie owych praw skutkowało sankcjami, a konflikty między miastami związkowymi rozstrzygane były przez komisje rozjemcze. Najbardziej dynamiczny rozwój związków na-

akcje osadnicze organizowane od VIII do XIV w. na terenie Europy Środkowej. W jej przebiegu wyróżnia się etapy:

- w VIII-XI w. na terenie dzisiejszej Austrii,
- w X w. nad środkową Łabą (zakładanie biskupstw misyjnych przez Ottonów),
- od XII do połowy. XIV w. na terenie dzisiejszej Polski południowej i Czech,
- od XIII do końca XIV w. na terenie dzisiejszej Polski północnej i krajów bałtyckich (kolonizacja organizowana przez Zakon Krzyżacki).

W ramach kolonizacji wybrane miejsca lub osady otrzymywały nowe prawa. Prawa te były prerogatywą cesarską lub władzy suwerennej na danym terenie. Prawo miejskie nie było jednolitym prawem, a składało się z kilku przywilejów oraz praw indywidualnych, z których prawo targowe było zwykle najważniejsze.



Friedrich Tittel, „Panorama Zielonej Góry” lata 30. XIX wieku, akwarela w zbiorach Muzeum Ziemi Lubuskiej

Z powyższych względów ruchy obronne gmin, rozpoczęte w X w., szczególnego znaczenia nabrały w XI w. w północnych Włoszech, które miały wówczas najbardziej zurbanizowaną populację Europy. Właśnie do tego czasu, po rzymskim „*ab urbe condita*” lub „*anno urbis conditae*”, zaczęto odnosić nazwę urbanistyka, której po raz pierwszy użył hiszpański teoretyk architektury Ildefonso Cerda (1815-1876), pochodzący od łacińskiego „*urbs*”, określającego konkretne miasto, by odróżnić od

stąpił od XIV. stulecia. Wtedy powstał górnołużycki związek sześciu miast pod przywództwem Budziszyna. W latach 1356-1669 działała Hanza, jeden z największych i najznacznějších związków, który penetrował obszary na południe od Bałtyku. Miastami hanzeatyckimi były Gdańsk, Wrocław i Kraków.

Cały ten proces rozwoju gospodarcze Europy określane jest mianem kolonizacji. Nas tu najbardziej interesuje kolonizacja wschodnia, czyli planowe

mi w Europie Środkowej były rodziny prawa wywodzące się przede wszystkim z prawa Magdeburga, Lubeki, Kolonii i Norymbergi. Prawo magdeburgskie (pochodzenia hanzeatyckiego) rozszerzyło się w głąb kraju na Czechy, Śląsk, a następnie na tereny dzisiejszej Słowacji i Polskę, a także jako prawo chełmińskie na Prusy Krzyżackie. Prawa miejskie odgrywały ważną rolę w osadnictwie średniowiecznym: koloniści byli rekrutowani (lub osiedlani samodzielnie) w założeniu, że mogą zachować własne

Powszechne w Europie Środkowej prawo miejskie

wywodzi się prawdopodobnie z wzorców włoskich, które z kolei opierały się na tradycjach samorządności miast rzymskich. Wprawdzie mówi się o niemieckich prawach miejskich lub wiejskich, ale wynikało to raczej z tak zwanej tradycji rodzin miejskich. Chodzi o to, że prawa jednego miasta były często mniej lub bardziej dosłownie przejmowane przez inne. Takim wzorca-

prawa w zakładanych lub rozbudowywanych przez siebie miastach. Początkowo było prawem targowym, uzupełnionym o jurysdykcję gminną i prawo do fortyfikacji. Dopiero później stawało się w pełni prawem miejskim ze wszystkim swoimi kompetencjami i niezależnością.

Prawo magdeburskie zostało wprowadzone po raz pierwszy na obecnym terytorium Polski w Złotorzy na Dolnym Śląsku (1211 r.), a następnie w Lwówku Śląskim (1217), Środzie Śląskiej (przed 1235), Wrocławiu (1242), Szczecinie (1243), Bochni, Poznaniu i Głogowie (1253), Bytomiu (1254), Krakowie i Wodzisławiu Śląskim (1257). Nie tylko miasta w Polsce dzielnicowej, ale również wiele miast na Pomorzu było lokowanych na prawie magdeburskim, m.in. Stargard (1243), Gryfino (1254) i Police (1260). Wszystkie te miasta tworzyły następne rodziny miast lokowanych, np. od Środy – prawo średzkie itd.

Na Środkowym Nadodrzu w okresie średniowiecza, a zwłaszcza w XIII w., powstały 42 miasta. Większość z nich wywodziła się z grodu, podgrodzia i targu. Przywileje lokacyjne na piśmie uzyskały tylko nieliczne, takie jak Gorzów, Gubin, Głogów czy Żary. Przywileje wystawiane wzoruje się na najbliższych miastach, np. Żary wzorowały się na Gubinie, który w tej roli wystąpił też w odniesieniu do wielu innych miast w Polsce, np. Poznania.

Jeżeli chodzi o Zieloną Górę, to żaden dokument lokacyjny nie przetrwał do naszych czasów. Z tego powodu najczęściej powołuje się na dokument wystawiony przez Henryka III głogowskiego z 5 marca 1302 r., w którym pojawia się nazwa teritorio Grunenbergensi. Jeżeli chodzi o początek osadnictwa, to przyjmuje się, że mogło nastąpić to około 1222 r., kiedy książę Henryk Brodaty sprowadził osadników. Jako miasto Zielona Góra występuje w dokumencie z 28 lutego 1312 r. Możliwe, że to w 1323 r. książę głogowsko-żagański Henryk IV Wierny nadał Zielonej Górze pełne prawa miejskie. Wynika z tych ocalałych informacji, że proces powstawania miasta Zielona Góra odbywał się etapowo – najpierw prawo targowe, jurysdykcja gminna, a następnie prawo do fortyfikacji i na końcu prawo miejskie. Przyjmuje się, że Zielona Góra była lokowana na wzór Krosna.

Mimo braku dokumentu, można przyjąć bez większej pomyłki, że przy owej lokacji już na lewym brzegu [Złotej] Łączy następowało wytyczanie prostokątnego rynku [60 x 60 m], z miejscem na ratusz. Z narożników rynku miały wybiegać pod kątem prostym po dwie prostopadłe do siebie ulice. Tworzyły podstawę w miarę regularnej sieci ulic ciągnących się do miejskich wałów i rowów, zastąpionych później przez mury. Chyba w drugi połowie XIV w. pojawia się tutaj nowe określenie „urbe”, stąd wywodzi się też „urbanizacja”, czyli szybka i historyczna transformacja ludzkich korzeni społecznych, w wyniku której kultura – głównie wiejska (rolniczo-pasterska) jest szybko zastępowana kulturą głównie miejską. O czym nie można zapominać: lokowanie miasta trwało kilka lat. Wraz z nowymi osadnikami pojawiły się muryrowane domy miejskie, kamienice, które wypierają z miasta zamki, klasztory, drewniane dwory, karczmy i chałupy. Ulice i domy nie miały początkowo napisów ani numerów. To pobliskie kościoły, warsztaty rzemieślników lub godła karczem Ich funkcje były punktami orientacyjnymi, np. ulica Kościelna (przy kościele, Szewska, Sukiennicza, Pod Filarami, Masarska, albo od rynków: na mąkę, na ziarno, drzewny, garncarski.

Miasto urządzał zasadzca, czyli menedżer-werbownik, który organizował zaciąg osadników na podstawie umowy z panem feudalnym. I to był przywilej lokacyjny, w którym książę określał prawa i obowiązki zasadzcy oraz pozostałych mieszkańców. Miasto otrzymywało też własne władze: dziedzicznego wójta i ławę miejską, to jest kilkuosobowy zespół pełniący funkcję sądu miejskiego. Obok tego pojawiało się z czasem przedstawicielstwo patrycjatu miejskiego, tzw. rada miejska z burmistrzem na czele.

Wójt był w mieście przedstawicielem właściciela (pana) miasta. Zarządzał miastem w jego imieniu i sprawował sądy według surowego prawa magdeburskiego. W sądach towarzyszyli mu ławnicy spośród mieszczan. Wyroki sądu wykonywano przy pręgierzu. Za kradzież drobną karano obcięciem uszu, za poważniejszą – ręki. Wójt pobierał szóstą część czynszów należnych księciu i trzecią część pieniężnych kar sądowych. Posiadał rzeźnię, jatki mięsne, młyny i łąki.

Pierwszymi zasadzcami i wójtami byli z reguły mieszkańcy pochodzący z Zachodu, którzy następnie ściągali osadników z sąsiednich krajów, głównie z Saksonii, Czech i Moraw. Nadanie praw miejskich skutkowało zezwoleniem na osiedlanie się, a także uwolnieniem osadników z ceł i czynszów. Intensywna kolonizacja od XIII do XV w. spowodowała, że stworzona wówczas sieć miast i wsi przetrwała do XIX w.

Obecnie w województwie lubuskim są 43 miasta, czyli o jedno więcej niż lokowano ich w średniowieczu.

MAJĄ PRAWA MIEJSKIE OD ROKU:

Zielona Góra – 1323 (brak dokumentu)
Gorzów Wielkopolski – 2 lipca 1257
Drezdenko – 1317
Skwierzyna – przed 1296
Kostrzyn nad Odrą – około 1300
Górzycza – przed 1299
Gubin – 1235
Międzyrzecz – między 1230 a 1238
Sulęcín – 1244
Torzym – 1375 (i ponownie w 1994)
Ośno Lubuskie – przed 1347
Lubniewice – 1367 (ponownie około 1500 i w 1995)
Słubice – 1945 (jako część Frankfurtu nad Odrą w 1253)
Łągów – 1808
Świebodzin – 1319 (ograniczone), 1469 (pełne)
Żary – 1260
Przewóz – 1280
Żagań – między 1248 a 1260
Szprotawa – przed 1260
Nowogród Bobrzański – 1238 (i ponownie w 1988)
Nowe Miasteczko – przed 1295
Głogów – 1253
Wschowa – 1273
Nowa Sól – 1743
Kargowa – 1655
Zabór – 1681

Kroniki i kronikarze miasta średniej wielkości

Dzieje Zielonej Góry zostały opisane w kilku kronikach, a także w formie notatek sporządzonych przez różnych autorów. Część tych zapisów dotyczy ogólnej wiedzy o mieście, a część zajmuje się wybranymi dziedzinami życia społeczno-gospodarczego, jak na przykład sukiennictwo czy winiarstwo.

Przyjęło się za historiografią niemiecką, że Winny Gród został założony w 1222 roku, jednak jest to tylko informacja kronikarska nie potwierdzona żadnym dokumentem źródłowym. Zielona Góra pojawia się dopiero w XIV-wiecznych manuskryptach. Najstarszy szerszy opis miasta z 1571 r. pochodzi z „Kroniki Śląska” autorstwa Joachima Cureusa, który odnotował, że jest ono ładne i zadbane

opis Śląska, autor wymienia Zieloną Górę, a także Krosno Odrzańskie i Gubin. Nasze miasto opisuje jako przyjemnie usytuowane w dolinie, otoczone winnicami, polami i pastwiskami. W 1625 r. Jakub Schickfuss, w kolejnej „Kronice Śląska”, obszernie ukazał Zieloną Górę wykorzystując niektóre fragmenty z Cureusa. Pod koniec wieku XVII Fryderyk Luca przedstawił Winny Gród podobnie jak jego poprzednicy, a więc wspominał o winnicach i sadach, ale dodał też zabudowę miejską, między innymi kościół parafialny oraz ratusz z okazałą wieżą, na której zamontowany był zegar. W 1740 r. Zielona Góra znalazła się pod panowaniem pruskim. Rok później w „Kronice Księstw Śląskich” autorstwa Kerna pojawiła się wzmianka o historii i gospodarce miasta. Pod koniec XVIII stulecia

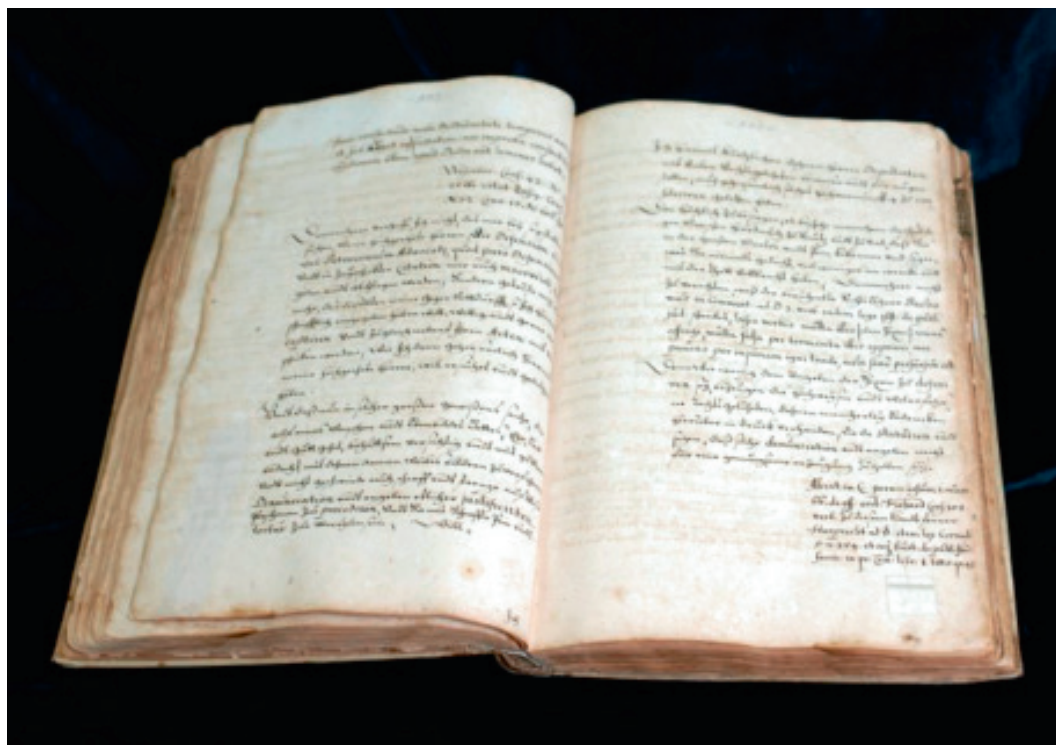
Wspomniani autorzy pochodzili spoza naszego miasta, natomiast pierwszym rodzimym kronikarzem był żyjący w XVII wieku pastor Johannes Nippe. Niestety, jego kronika zaginęła i znamy ją tylko z opisów innych badaczy. Wspomnieli o niej Fritz Ohnesorge oraz pastor Mateusz Weber, jej kontynuator. Dzieło Nippego zawierało wiele przekazów historycznych, głównie dotyczących prześladowań religijnych, okresu przed wojną trzydziestoletnią oraz w czasie jej trwania. Pracę kontynuowali wspomniany Weber, Johann Joachim Schirmer i nieznany autor, który doprowadził zapiski do 1755 r. Kronika Nippego była też bogatym źródłem wiedzy dla XIX-wiecznego historyka Ottona Wolffa. Kolejnym miejscowym badaczem jest nieznany autor, który opisał Zieloną Górę w okresie od

1623 do 1795 r. Edycja tego tekstu została wykonana i wydana przez prof. Jarochnę Dąbrowską-Burkhardt w 2007 r.

Bezcennym źródłem, ukazującym praktycznie z „pierwszej ręki” pewien fragment dziejów naszego miasta, jest przechowywany w Muzeum Ziemi Lubuskiej „Extract protocollii Judycij Grunbergensis”, czyli oryginalny protokolarz sądu zielonogórskiego z akt procesów przeciw czarownicom z lat 1663-1665. „Extract” uważać należy za zabytek o znaczeniu wyjątkowym. Jest on dokumentem bezpośrednim – rejestruje bowiem, a nie opisuje wydarzenia. Spisane

protokoły powstawały w trakcie procesów i nie było w nich miejsca na subiektywną interpretację.

Od hipotetycznego początku do lat 1740 oraz 1818 opisał dzieje miasta



Rękopis protokolarza „Extract protocollii Judycij Grunbergensis” jest uważany za jeden z najcenniejszych zabytków zielonogórskich, przechowywany w Muzeum Ziemi Lubuskiej

z dużą liczbą ogrodów i winnic, bogate w zasoby leśne z obfitością zwierzyny i ptactwa oraz ryb w nieodległej Odrze. Na 1613 r. datowana jest kronika Mikolaja Heneliusa, w której znajdziemy

Albrecht Friedrich Zimmermann wydal 10-tomowe dzieło, w którym 30 stron poświęcił Grodowi Bachusa, opisując jego dzieje oraz sytuację prawnowłasnościową.

powiatowy poborca podatkowy Samuel Reiche. Kolejnym kronikarzem jest Carl Bergmüller – burmistrz Winnego Grodu. Jego dzieło jest obecnie przechowywane w zasobach Archiwum Państwowego w Zielonej Górze. Obejmuje zakres chronologiczny lat 1800-1860, zawiera opisy topograficzne i statystyczne miasta. Z XIX-wiecznych kronik należałoby wymienić również pracę Jeremiasa Abrahama Liebiga, który Zielonej Górze poświęcił aż 147 stron. W Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. C. Norwida znajduje się kronika napisana i wydana osobiście przez tutejszego nauczyciela Johanna Gottfrieda Johna, którą poprowadził dalej zielonogórski sukiennik Heinrich Adolph Pilz. Obejmuje ona czasy początków miasta, zawiera też ważne informacje na temat sukiennictwa, budowy dróg, ulic, tras kolejowych, a ponadto rozwoju miejscowego przemysłu w XIX stuleciu. Bardzo ważne dla dziejów miasta są wydawnictwa wspomnianego pastora Wolffa. W 1841 r. opublikował pracę „Historia ewangelickiego miasta i gminy Zielonej Góry na Dolnym Śląsku, od czasów reformacji do pierwszego pokoju śląskiego, 1742”, którą uzupełnił i wydał następnie w 1848 r. W tym samym czasie opracował swoją historię miasta znany sukiennik Friedrich Förster, jednak wstrzymał się z jej publikacją do momentu porównania z pracą Wolffa, dopiero potem zezwolił na dostarczenie jej do księgarń. Co ciekawe, obaj autorzy uważali, że nazwa Zielona Góra ma pochodzenie słowiańskie i dopiero osadnicy przybyli z terenu Niemiec zmienili jej brzmienie na Grünberg.

W 1922 r. pojawiła się ponad 1100-stronicowa praca archiwisty i nauczyciela Hugona Schmidta, najobszerniejsze i wciąż podstawowe źródło do współczesnych opracowań historii Zielonej Góry. To monumentalne dzieło jest o tyle ważne i cenne, że autor miał dostęp do oryginalnych dokumentów, akt i materiałów, które nie przetrwały w większości wojennej zawieruchy bądź są rozproszone po archiwach polskich i niemieckich (np. Poznań, Berlin). Z 1928 r. pochodzi ciekawe wydawnictwo pod redakcją Erwina Steina „Księga miasta Zielonej Góry”. oprócz tekstów dotyczących kwestii historycznych, porusza też zagadnienia gospodarcze i przemysłowe, zawiera fotografie

Z PRACY „DAWNA ZIELONA GÓRA. KRONIKA” / „DAS ALTE GRÜNBERG. CHRONIK” W OPRACOWANIU JAROCHNY DĄBROWSKIEJ-BURKHARDT

Dnia siódmego maja 1732 roku kwitła winna latorośl, a trzeciego sierpnia dojrzała i wino było dobre. Lizbońskie grusze zakwitły ponownie w czasie winobrania. Korzec żyta kosztował 26 sgr., nie było jednak dużo wina, zmarzło ono w okolicach Hohnberg i Heinersdorf (Jędrzychów). Przetrawało ono jednak na terenach niżej położonych.

1727, dnia jedenastego maja, w niedzielę wieczorem o godzinie jedenastej kucharz Jeremias Grasse został zasztyletowany w gospodzie Trzy Wzgórza. Było dużo dobrego wina, tak, że ludzie nie mogli nastarczyć z odpowiednią ilością naczyń. Jesień była tak piękna, że ludzie w Wigilię chodzili boso. W dużych ilościach było też owoców i zbóż.

Z KRONIKI JOHANNA G. JOHNA I HEINRICHA A. PILZA W PRZEKŁADZIE JAROSŁAWA KUCZERA

1815. 17 stycznia, w dole przy starej furcie, znaleziono martwe dziecko. Ciało płci męskiej leżało w wodzie. Sprawcy nieszczęścia nie udało się ująć.

Od 8 stycznia 1815 r. zgodnie z zarządzeniem rejencji legnickiej, zabroniono grzebania zmarłych na cmentarzu św. Trójcy, co argumentowano centralnym położeniem cmentarza względem miasta.

Do teraz w mieście był tylko jeden kominiarz. Postanowieniem miejscowego magistratu 1 lutego zezwolono na pracę kolejnemu kominiarzowi.

8 lutego, na cmentarzu Zielonego Krzyża, na wielkiej lipie, powiesił się sukiennik uzależniony od nałogu alkoholowego.

17 lutego do miasta przybył posłaniec, przywożąc wieści w sprawie postanowień wiedeńskich. Według nich Prusy miały przejąć Polskę, Westfalię, Saksonię oraz kraje na lewym brzegu Renu.

23 lutego wieczorem do Zielonej Góry zawitał Jego Wysokość Król Saksonii, pozostający w podróży z Berlina do Brna. Przenocował, jak wszyscy inni wielcy podróżni, u kupca Förstera.

9 kwietnia z miasta odmaszerował przybyły tu 16 grudnia minionego roku batalion czwartego wschodniopruskiego regimentu piechoty i udał się w kierunku powiatu świebodzińskiego, by 23 kwietnia na jego terenie połączyć się na powrót z całym regimentem. Jego żołnierze kwaterowali po części w mieście, po części we wsiach należących do miasta, podejmowani przez gospodarzy za specjalną opłatą.

i reklamy lokalnych przedsiębiorstw różnego typu.

Po drugiej wojnie światowej dziejami polskiej już Zielonej Góry zajęli się historycy z Uniwersytetu Poznańskiego oraz miejscowi autorzy. W 1962 r. ukazała się publikacja pod redakcją Michała Szczanieckiego i Jana Wąsickiego, w której opisali historię miasta od wieku XIV do początku lat 60. XX stulecia. Książka zawiera też informacje na temat życia społecznego, przemysłu, administracji, kultury i planów rozwojowych. W artykule autorstwa Klema Felchrowskiego opisane zostały też obiekty zabytkowe Winnego Grodu. W 1984 r.

Hieronim Szczegółą opisał najnowsze dzieje miasta w okresie od wkroczenia wojsk radzieckich do początku lat 80. Krótka monografia miasta ukazała się w 1991 r., a jej autorami są zielonogórcy historycy Joachim Benyskiewicz i H. Szczegółą. Warto też wspomnieć o trzytomowej „Historii Zielonej Góry” (2011-2022) pod redakcją Wojciecha Strzyżewskiego (omówienie tomu III na str. 21).

Czesław Osękowski

Na kartoflisku powstało centrum gospodarcze

W ciągu kilku lat wybudowano od podstaw kompleks, który tworzą: Lubuski Park Przemysłowo-Technologiczny obejmujący 126,8 ha całkowicie objętych specjalną strefą ekonomiczną i Park Naukowo-Technologiczny Uniwersytetu Zielonogórskiego obejmujący 41,01 ha.

Po kilku latach transformacji ustrojowej po 1989 roku okazało się, że w Zielonej Górze brakuje terenów inwestycyjnych, co ograniczało rozwój gospodarki miasta. Brakowało zwłaszcza większych kompleksów, w których mogłyby podjąć działalność firmy z większym kapitałem. Władze miasta szansę rozwiązania tego problemu upatrywały we współpracy z Uniwersytetem Zielonogórskim, który posiadał na terenie gminy wiejskiej Zielona Góra 392,36 ha ziemi rolnej (Nowy Kisielin – 207,4, Przytok – 88,33 i Jany – 96,63 ha). Ziemia ta w 2008 r. po 10 latach dzierżawienia stała się własnością Uniwersytetu Zielonogórskiego, co pozwoliło na rozpoczęcie procedury ich przekształcenia z gruntów rolnych na inwestycyjno-usługowe. Przekształceniem objęta została ziemia w Nowym Kisielinie. Grunty w Janach i Przytoku nadal zachowały status ziemi rolnej. Z gospodarczego punktu widzenia i inwestycyjnej wartości ziemia w Nowym Kisielinie miała duże znaczenie. Choć znajdowała się w gminie wiejskiej Zielona Góra, była atrakcyjnie usytuowana

prowadzącą do autostrad A2 i A4, leżała przy drodze wojewódzkiej prowadzącej do Odry w Miłsku, gdzie planowano wybudować nowy most.

W tym czasie UZ zabiegał o pieniądze z Lubuskiego Regionalnego Programu Operacyjnego na budowę Parku Naukowo-Technologicznego w Nowym Kisielinie, który miał stać się ważnym miejscem do prowadzenia badań naukowych i przyczynić się do

Lubuski Park Przemysłowo-Technologiczny w Zielonej Górze – Nowym Kisielinie wpisał się już na stałe w krajobraz gospodarczy miasta. W marcu 2019 r. funkcjonowały tam 22 firmy, które zatrudniały ok. 3 tys. osób.

rozwoju uczelni. Park miał obejmować nieco ponad 40 ha, planowano zbudować cztery naukowo-badawcze centra: Centrum Logistyczne Parku Naukowo-Technologicznego i Platformę na rzecz Nauki i Gospodarki, Centrum Zrówno-

których spodziewano się pozyskać po wybudowaniu parku.

Zamiar utworzenia w Nowym Kisielinie Parku Naukowo-Technologicznego Uniwersytetu Zielonogórskiego pojawił się na przełomie 2005 i 2006 r., w tym czasie nie było jeszcze mowy o utworzeniu w Nowym Kisielinie strefy przemysłowej. Rozważano zbudowanie tam zaplecza naukowo-badawczego dla uniwersyteckich kierunków technicznych i związanych z ochroną zdrowia. Wiele osób podchodziło sceptycznie do pojawiających się rozważań i nie wierzyło w realność takich planów. Sojusznikiem UZ stosunkowo prędko stał się Urząd Miasta w Zielonej Górze. Plany związane z zagospodarowaniem ziemi w Nowym Kisielinie wsparły i rozwinęły nowo wybrane władze samorządowe Zielonej Góry. Jednak park nabrał realności, gdy pojawiły się środki unijne, pomogło wpisanie inwestycji na listę przedsięwzięć priorytetowych. Przychyłność wobec utworzenia w Nowym Kisielinie kompleksu naukowo-technologiczno-przemysłowego wsparły wła-



i dobrze nadawała się na cele gospodarcze: stanowiła jeden zwarty kompleks, była położona w bezpośrednim sąsiedztwie miasta, była dobrze skomunikowana z drogą ekspresową S3

ważonego Budownictwa, Centrum Innowacji dla Zdrowia Człowieka i Centrum Technologii Informatycznych. Pozostałe grunty w Nowym Kisielinie miały zostać sprzedane dla inwestorów,

dze samorządowe województwa oraz lubuscy parlamentarzyści.

Koncepcja uniwersytetu została zmodyfikowana w 2007 r. Prezydent Zielonej Góry Janusz Kubicki



zapropował, aby w Nowym Kisielinie w sąsiedztwie planowanego Parku Naukowo-Technologicznego UZ utworzyć Lubuski Park Przemysłowo-Technologiczny. Stroną w przedsięwzięciu miał być jeszcze obok uczelni i miasta Urząd Marszałkowski Województwa Lubuskiego. Stosunkowo prędko porozumiano się co do zasad i form współdziałania i 27 lipca 2007 r. wystąpiono wspólnie z wnioskiem o utworzenie Regionalnego Parku Specjalnej Strefy Ekonomicznej jako podstrefy Kostrzyńsko-Słubickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej. Rada Ministrów wydała 24 grudnia 2007 r. rozporządzenie o rozszerzeniu obszaru K-SSSE o uniwersytecką ziemię w Nowym Kisielinie. Przyspieszyło to prace nad koncepcjami utworzenia w Nowym Kisielinie Parku Naukowo-Technologicznego UZ i Lubuskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego. Zarząd województwa lubuskiego 1 kwietnia 2009 r. rozszerzył Indykatory Planu Inwestycyjnego w ramach Lubuskiego Regionalnego Planu Operacyjnego na lata 2007-2013 o trzy projekty: Park Naukowo-Technologiczny Uniwersytetu Zielonogórskiego, Budowa obwodnicy Nowego Kisielina i Starego Kisielina, Uzbrojenie Lubuskiego Parku Przemysłowo-Techno-

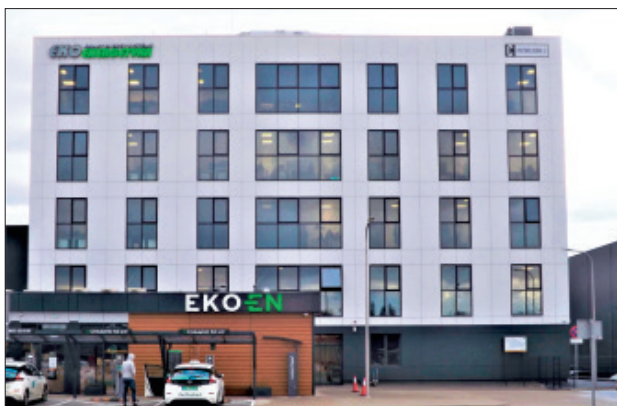
logicznego w Nowym Kisielinie. Po tych decyzjach została otwarta droga do budowania w Nowym Kisielinie kompleksu naukowo-technologiczno-przemysłowego.

14 maja 2010 r. została podpisana umowa o powołaniu Lubuskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego Sp. z o.o. Udziałowcami w spółce zostali: Miasto Zielona Góra (30 proc.), Urząd Marszałkowski Województwa Lubuskiego (30 proc.), Uniwersytet Zielonogórski (30 proc.), Gmina Zielona Góra (9 proc.) i Kostrzyńsko-Słubicka Specjalna Strefa Ekonomiczna (1 proc.). Zgromadzenie wspólników wybrało trzyosobową radę nadzorczą spółki, która następnie drogą konkursu wyłoniła prezesa. Rada Gminy wiejskiej Zielona Góra 25 sierpnia 2010 r. uchwaliła miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego dla terenu parku, który uprawomocnił się po dwóch tygodniach.

W czerwcu 2011 r. po ustaleniu operatów szacunkowych i po uzyskaniu zgody Ministra Skarbu, Urząd Miasta Zielona Góra odkupił od UZ 72 ha ziemi w Nowym Kisielinie i rozpoczęło budowanie Lubuskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego. W pierwszej kolejności przystąpiono do wykonania inwestycji infrastrukturalnych,

tj. budowy obwodnicy Nowego Kisielina stanowiącej drogę dojazdową do parku oraz sieci wodociągowej, kanalizacji sanitarnej i światłowodowej. W latach następnych Urząd Miasta odkupił od UZ dalsze grunty w Nowym Kisielinie.

W ciągu kilku lat w Nowym Kisielinie wybudowano od podstaw kompleks naukowo-technologiczno-przemysłowy, który tworzą dwa segmenty: Lubuski Park Przemysłowo-Technologiczny obejmujący 126,8 ha całkowicie objętych specjalną strefą ekonomiczną i Park Naukowo-Technologiczny Uniwersytetu Zielonogórskiego obejmujący 41,01 ha, w obrębie którego obok zaplanowanych wcześniej czterech centrów naukowo-badawczych wybudowano jeszcze Inkubator Przedsiębiorczości. Koszty kolejnych inwestycji w Nowym Kisielinie nie były małe, ale dzięki temu stworzone zostały dla miejscowych i zewnętrznych inwestorów dobre warunki do budowania firm i prowadzenia biznesu. Z LRPO przeznaczono 32,7 mln zł na budowę obwodnicy Nowego Kisielina i 65,9 mln zł na inwestycje w Parku Naukowo-Technologicznym Uniwersytetu Zielonogórskiego. Z budżetu Zielonej Góry przeznaczono 5,4 mln zł na





uzbrojenie Lubuskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego, 3 mln zł na budowę obwodnicy Nowego Kieselina i 4,9 mln zł na inwestycje w Parku Naukowo-Technologicznym Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Pierwszą firmą, która związała się z Lubuskim Parkiem Przemysłowo-Technologicznym w czerwcu 2013 r. była spółka Darstal świadcząca usługi obróbki metali i nakładania powłok na metale oraz usługi z zakresu obróbki mechanicznej elementów metalowych. Spółka (z polskim kapitałem) zainwestowała w parku ponad 13 mln zł i zatrudniła 105 osób. Pod koniec 2021 r. Darstal straciła płynność finansową, a jej dalsze funkcjonowanie na rynku stało się niepewne. Pojawiły się trudności z realizacją zobowiązań wobec pracowników i zewnętrznych kontrahentów. Zarządzający firmą nie ukrywali, że możliwe stało się ogłoszenie jej upadłości.

Inne firmy z polskim kapitałem funkcjonujące w LPP-T to:

- * **LUG Light Factory** – producent opraw do oświetleń przemysłowych i dekoracyjnych,
- * **BWK Logistic** – firma zajmująca się magazynowaniem i usługami wspierającymi transport,

- * **eobuwie.pl Logistics** – prowadząca działalność operatora centrum magazynowo-logistycznego (sprzedaż online obuwia, torebek i akcesoriów w formule multibrandowej),

- * **Wielkopolskie Przedsiębiorstwo Inżynierii Przemysłowej** – zajmujące się usługami obróbki metali i nakładania powłok na metale oraz usługami z zakresu obróbki mechanicznej elementów metalowych,

- * **Styropmin** – producent wyrobów z gumy i tworzyw sztucznych (płyty styropianowe fasadowe, izolacje fundamentów, dachów i podłóg),

- * **Ekoenergetyka-Polska** – wykonawca usług w zakresie badań naukowych i prac rozwojowych (kompleksowe wdrażanie infrastruktury ładowania pojazdów elektrycznych, głównie autobusów elektrycznych),

- * **SpinkoMoto** – producent części i akcesoriów ze stopów aluminiowych do pojazdów i silników mechanicznych (elementy przeznaczone do turbosprężarek, sprężarek, systemów hamulcowych oraz innych elementów silnikowych wykorzystywanych przez przemysł motoryzacyjny),

- * **Expol** – firma zajmująca się logistyką (transport krajowy i międzynarodowy),

- * **Pekaes** – firma prowadząca dystrybucję przesyłek krajowych i międzynarodowych,

- * **Perceptus** – firma zajmująca się projektowaniem i wykonaniem systemów dotyczących bezpieczeństwa,

- * **Expondo Polska** – zajmująca się handlem i usługami.

Firmy z kapitałem niemieckim funkcjonujące w parku to:

- * **Brinkmann Manufaktur** – producent mebli, materacy, łóżek kontynentalnych (ze skrzynią na pościel), poduszek, pościeli i pokrowców na materace,

- * **Ideal Automotive Zielona Góra** – wytwórca pozostałych części i akcesoriów do pojazdów silnikowych z wyłączeniem motocykli,

- * **HUT Technika Środowiska** – producent instalacji i urządzeń do segregacji i przetwarzania odpadów stałych,

- * **Fiege** – zajmująca się dystrybucją i zwrotami wyrobów znanych marek odzieżowych.

W parku funkcjonuje też szwedzka firma REAC Components – produkująca siłowniki do urządzeń medycznych i rehabilitacyjnych.

Funkcjonujące w parku firmy chwalą jego lokalizację i stworzone tam możliwości prowadzenia biznesu. Przykładem dynamicznego rozwoju może być





stworzona od podstaw w 2006 r. firma e-obuwie, która w krótkim czasie rozrosła się i stała się potentatem w branży handlu elektronicznego (e-commerce). Specjalnością firmy jest sprzedaż obuwia i to nie tylko w Polsce, ale też za granicą. Firma wybudowała w Nowym Kisielinie centrum logistyczne i biurowiec, działa na 15 europejskich rynkach i zatrudnia blisko 2 tys. pracowników. Z roku na rok zdobywa kolejne rynki, rozszerza ofertę handlową o nowe produkty i rozwija się w dużym tempie o czym świadczy coroczny wzrost sprzedaży o kilkadziesiąt procent. Obroty firmy w 2020 r. przekroczyły 2,2 mld zł.

Dynamicznie rozwinęła się też firma Expondo Polska, której specjalnością – podobnie jak e-obuwia – jest handel elektroniczny, ponadto transport. Firma funkcjonuje w Nowym Kisielinie od 2008 r., produkuje i sprzedaje specjalistyczne artykuły własnych marek, których odbiorcami jest branża przemysłowa i budownictwo. Expondo Polska dysponuje w strefie centrum biurowo-logistycznym o powierzchni ok. 30 tys. km kw. Firma sprzedaje swoje towary w 29 krajach Europy.

Lubuski Park Przemysłowo-Technologiczny w Zielonej Górze – Nowym

Kisielinie wpisał się już na stałe w krajobraz gospodarczy miasta. W marcu 2019 r. funkcjonowały tam 22 firmy, które zatrudniały ok. 3 tys. osób. Do tego czasu firmy te zainwestowały w parku blisko 700 mln zł. Pod koniec 2019 r. nie było już tam wolnej ziemi, którą można było zakupić pod nowe inwestycje. Stąd też część firm decydowała się na rozpoczęcie działalności gospodarczej w parku w oparciu o wynajęte hale, które wybudowały tam wyspecjalizowane w tym względzie przedsiębiorstwa. Taką strategię przyjęły firmy REAC Components, Fiege, Pekaes, Kronopol, Expondo Polska, Perceptus, Kuehne+Nagel. Budową hal w Nowym Kisielinie zajmuje się firma Panattoni Park Zielona Góra i jej spółki celowe. Jak dotąd wybudowała ona cztery budynki o łącznej powierzchni 75 tys. m kw. z możliwością rozbudowy. Magazynowe lub fabryczne hale firmy Panattoni stwarzają możliwość elastycznego kształtowania modułów według potrzeb zainteresowanych inwestorów. W marcu 2019 r. zapadła decyzja o budowie w parku w Nowym Kisielinie przez firmę Panattoni trzech kolejnych hal. Jedną z firm, która w oparciu o powstające obiekty tworzy w parku swoje centrum logistyczne jest DHL,

jeden ze światowych liderów logistyki globalnej.

We wrześniu 2016 r. zarząd Kostrzyńsko-Słubickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej otworzył swoje zamiejscowe biuro w Zielonej Górze – Nowym Kisielinie. Był to początek budowania w Lubuskim Parku Przemysłowo-Technologicznym zaplecza administracyjno-logistycznego dla podstrefy K-SSSE. Stanowiło to wsparcie dla spółki Lubuski Park Przemysłowo-Technologiczny w pozyskiwaniu nowych inwestorów. Pierwszą firmą, która podjęła działalność w parku po wspólnych działaniach zarządu spółki, podstrefy K-SSSE i Urzędu Miasta była firma z niemieckim kapitałem Brinkmann Manufaktur.

Podstrefa K-SSSE od początku funkcjonowania miała operacyjny charakter, czemu sprzyjała współpraca z Urzędem Miasta w Zielonej Górze, Organizacją Pracodawców Ziemi Lubuskiej i Uniwersytetem Zielonogórskim. Jak dotąd Lubuski Park Przemysłowo-Technologiczny dobrze wykorzystał możliwości wynikające z funkcjonowania w specjalnej strefie ekonomicznej, na czym skorzystali zarówno przedsiębiorcy prowadzący tam działalność gospodarczą, jak też samorząd Zielonej Góry.



Zdjęcia Daniel Jung

Gala z Winiarką w głównej roli

Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka” w 2022 roku otrzymali Mirosław Kuleba i wydawnictwo Pro Libris. W konkursie na utwór o tematyce zielonogórskiej zwyciężyło opowiadanie Marcina Mielcarka.

Pierwszy konkurs literacki na utwór o tematyce zielonogórskiej odbył się w 2017 r. Autorzy mogli nadsyłać nowe utwory, jak i zgłaszać już opublikowane. Główną nagrodą była publikacja książki zwycięzcy i statuetka Winiarki. W następnym roku nastąpiło oddzielenie konkursu od nagrody w postaci statuetki, co umożliwiło udział w konkursie autorom z całego kraju. Kolejna zmiana w regulaminie miała miejsce w 2021 r. Od tego roku komisja powoływana przez stowarzyszenie ma prawo przyznać dwie Winiarki – indywidualną i zespołową.

Jesienią, kiedy TMZG „W” organizuje spotkanie laureatów, również oddział Związku Literatów Polskich przyznaje swoje nagrody: im. Andrzeja K. Waśkiewicza i im. Janusza Koniusza. Od dwóch lat oba spotkania odbywają się równocześnie, to znaczy w tej samej sali, z udziałem tych samych uczestników i zaproszonych gości. Miejscem spotkania 25 listopada 2022 r. była sala im. dr. Jana Muszyńskiego w Muzeum Ziemi Lubuskiej. Uczestniczyło w nim około 150 osób z całego regionu lubuskiego.

Kapituła Zielonogórskiej Nagrody Literackiej „Winiarka” przewodniczył dr hab. Ryszard Zaradny, wiceprezes TMZG „W”. Wyniki prac zespołu podczas gali przedstawiła dr Alina Polak-Woźniak, która także wygłosiła laudacje. Nagrodę indywidualną kapituła przyznała Mirosławowi Kulebie z Zielonej Góry – prozaikowi, reportażyście, eseiście, korespondentowi wojennemu, członkowi ZLP. Spod jego pióra wyszły między innymi takie książki, jak „Niezlomna Czeczenia”, „Czeczeciński specnaz”, „Dziennik snajpera”, „Imperium na kolanach. Wojna w Czeczeni 1994-1996”, „Moskwa koczowników”. Oprócz pracy pisarskiej M. Kulebę zajmuje uprawa winnych latorośli, dzieje tych roślin i winiarstwo przede wszystkim w Zielonej Górze. Te zagadnienia omawia w takich książkach jak „Ampelografia Zielonej Góry” czy „Enographia Talloris”. O najnowszej książce tego autora „Enografia mistyczna miasta Thalloris” piszemy na str. 22.

Winiarkę w kategorii zespołowej otrzymało wydawnictwo Pro Libris. Jego założycielem w 1996 r. była biblioteka im. Norwida. Oprócz książek literackich autorów lubuskich i o tematyce zielonogórskiej Pro Libris wydaje czasopisma: „Pro Libris” (czyt. str. 22), „Bibliotekarz Lubuski” i „Pasje Literackie”.

Na ósmy konkurs literacki o tematyce zielonogórskiej, organizowany przez TMZG „W”, wpłynęły opowiadania i utwory poetyckie m.in. z Warszawy, Siedlec, Suwałk, Krakowa, Sosnowca, Katowic, Opola. Najwięcej prac nadesłali autorzy z Zielonej Góry i okolicznych miejscowości. Jury (prof. dr hab. Marta Ruszczyńska, Eugeniusz Kurzawa i Alfred Siatecki) nagrodę główną przyznało Marciniowi Mielcarkowi z Zielonej Góry za opowiadanie „Koty nie piją whisky” (publikujemy je na str. 15-18). Nagrodą jest wydanie książki zwycięzcy w 2023 r. Jury wyróżniło prace Lidii Chowaniec z Nowego Targu i Henryka Liszkiewicza z Piły.



Szef wydawnictwa Pro Libris dr Andrzej Buck i sekretarz redakcji Ewa Mielczarek odebrali Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka” w kategorii zespołowej

foto. Alicja Błażyńska



Winiarkę w kategorii indywidualnej otrzymał Mirosław Kuleba

foto. Alicja Błażyńska

Drugą częścią wspólnej gali były nagrody i laury Związku Literatów Polskich. Kapitułę przyznawanej od 2010 r. Nagrody Literackiej im. Andrzeja K. Waśkiewicza tworzyli: prof. dr hab. Małgorzata Mikołajczak – przewodnicząca oraz dr Mirosława

Szott i dr Michał Banaszak. Do nagrody kandydowało 31 książek 30 autorów. Otrzymała ją Zofia Mąkosa z Kargowej za dwutomową powieść „Makowa spódnica”, opublikowaną przez poznańskie wydawnictwo Książnica. Nominowani do nagrody byli: Beata Patrycja Klary z Gorzowa za tomik poetycki „Lęgnia” i Czesław Markiewicz z Zielonej Góry za zbiór wierszy „Prowincje mojego imperium. Zamki świata”. Książka laureatki to powieść historyczna z XVII wieku, której akcja toczy się w chałupach, pałacach i zamkach Środkowego Nadodrza w czasach tzw. palenia czarownic. Nagrodę wręczyła Anna Sobecka, małżonka zmarłego przed 10 laty A.K.Waśkiewicza, wybitnego poety, krytyka literackiego, dziennikarza i wydawcy, który większość swojego życia spędził na Środkowym Nadodrzu.

Laur Literacki im. Janusza Koniusza, zmarłego w 2017 r. poety, prozaika i publicysty, otrzymali Agnieszka Moskaluk z Gorzowa i Jerzy Benjamin Zimny z Poznania, poeci i publicyści, kierujący oddziałami ZLP i redagujący regionalne czasopisma literackie. Ten laur wręczyła córka patrona Donata Wolska.

Wicewojewoda lubuski dr Wojciech Perczak udekorował kilku twórców odznaczeniami państwowymi. Srebrny Medal za Długoletnią Służbę otrzymał dr hab. Ryszard Zaradny, brązowe – Alicja Błażyńska i Katarzyna Jarosz-Rabiej. Brązowym medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis” został wyróżniony Ryszard Błażyński. Halina Bohuta-Stąpel i Maria Szafran otrzymały odznaki honorowe Zasłużony dla Kultury Polskiej.

W trakcie uroczystości miała miejsce promocja książki Igora Myszkiwicza „Maszyna snów” (omówienie na str. 19), zwycięzcy konkursu na utwór o tematyce zielonogórskiej w 2021 r. Uczestnicy gali otrzymali almanach literacko-fotograficzny „Zielona Góra w poezji i prozie”, wydany z okazji 800-lecia powstania Zielonej Góry i 700-lecia uzyskania praw miejskich. Tego dnia ukazał się nr 12 magazynu „Na Winnicy”.

Spotkanie w sali im. dr. Jana Muszyńskiego Muzeum Ziemi Lubuskiej ubarwił zespół wokalny-muzyczny Czwórka z Piątki.

AS



Konkurs na utwór o tematyce zielonogórskiej wygrał Marcin Mielcarek

foto. Alicja Błażyńska



Konkurs literacki „Z miłości do miasta”

Organizatorem konkursu jest Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”. Praca powinna mieć formę poetycką lub prozatorską (opowiadanie, legenda, esej). Tematyka jest dowolna. Praca musi jednakże w swej treści nawiązywać do tematu Zielonej Góry. Mile widziane teksty odnoszące się do 700-lecia nadania praw miejskich w 2023 r.

Prace nieprzekraczające 10 stron w trzech egzemplarzach (1800 znaków na stronie) należy przysyłać tradycyjną pocztą pod adresem: Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, ul. Lisia 37, 65-093 Zielona Góra. Każda praca powinna być opatrzona godłem. W kopercie oznaczonej tym samym godłem należy umieścić: imię i nazwisko autora, adres, e-mail, telefon. Przesyłkę należy podpisać „Konkurs na utwór zielonogórski”. Ponadto utwór zapisany w formacie doc/docx należy przesłać pocztą elektroniczną pod adresem: tmzg-winnica@o2.pl. W tytule maila proszę podać „Konkurs literacki”.

Prace będzie oceniać jury. Nominowani zostaną poinformowani o tym drogą telefoniczną lub mailową. Uhonorowanie laureata nastąpi podczas gali w listopadzie br.

Nagrodą główną jest dyplom i wydanie książki laureata (który przekaże materiał do druku organizatorom konkursu do 31 maja 2024 r.). Termin nadsyłania prac – 14 października 2023 r.

Szczegółowy regulamin znajduje się na www.tmzg.org.pl.



Winiarka 2023

Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka” przyznaje Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica” za szeroko pojętą działalność pisarską, a szczególnie za: prace poetyckie i prozatorskie sytuujące Zieloną Górę jako miejsce akcji i jako podmiot ekspresji twórczej; dzieła autorstwa lokalnych poetów, pisarzy, dziennikarzy i innych osób, których prace wyróżniają się znakomitą warsztatem literackim; prace naukowe odnoszące się do popularyzacji literatury regionu; prace publicystyczne uwzględniające dzieje miasta i jego najważniejszych obywateli. Kandydatów mogą zgłaszać instytucje, stowarzyszenia i osoby prywatne przysyłając pisemny wniosek pod adresem: Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, ul. Lisia 37, 65-093 Zielona Góra lub e-mail: tmzg-winnica@o2.pl do 14 października 2023 r. Laureatem wyróżnienia można zostać tylko jeden raz. Regulamin jest na www.tmzg.org.pl.

Marcin Mielcarek

Koty nie piją whisky

Kupiłem jej kota. Właściwie to nie kupiłem, a sprawiłem. Nie, nie sprawiłem. Sam się sprawił. Któregoś dnia wylał ze śmietnika, ale wcale nie wyglądał jak półdziki, bezdomny zwierz. Byliśmy na spacerze, szliśmy Rydza-Śmigłego, obok bloku, w którym wynajmowaliśmy kiedyś ciasną kawalerkę. Kot wybiegł nagle z pergoli, cicho jak duch. Zatrzymał się, spojrzął, chyba oceniał. Potem miaucząc i mrucząc podreptał do Klary. Wiedział do kogo najpierw powinien uderzyć, cwaniak. Łasił się, ocierał o łydki, zawijał. Przeciągnął się i pokazał białe kły – cholerny model na wybiegu. Miał przyjemną mordkę, naprawdę piękną kocią twarz. Cały był w odcieniach szarości, prążkowany, z czarnymi łapkami i długim, puchatym ogonem jak u szopa. I te oczy. Ani żółte, ani zielone, niczym limonki. Do tego czarne wąskie źrenice. Prawie gadzie oczy. Oczy diabła.

No i chyba koniec końców była to kotka, a nie kocur.

– Weźmiemy go? – spytałem porażony empatią.

Empatią względem Klary, a nie kota.

Chciała mieć ze mną dziecko, ja też chciałem mieć dziecko, raczej syna, ale wciąż nie byłem na tyle dojrzały, by zostać ojcem. Śniło mi się to nawet, kilka razy, że mamy to dziecko, czerwone i odarte. Za każdym razem, kiedy trzymam je na rękach, ono wypada i mała główka eksploduje feerią barw na podłodze. Wtedy się budzę. Całkiem przerażająca wizja, nawet jak na sen. Nie mówiłem jej oczywiście o tych snach, koszmarach znaczy. Nie chciałem jej martwić.

Wymyśliłem w zamian, że weźmiemy sobie zwierzaka, ale po prawdzie wcale chętny na branie jakiegoś nie byłem. Tak sobie gadałem dla samego gadania. Klara jednak wzięła to na poważnie. Przeglądała w sieci schroniska i zaglądała tym wszystkim smutnym, samotnym stworom w ich puste, pozabawione nadziei oczy. Pokazywała mi te zdjęcia. Zawsze miałem jakieś ale. Tym razem nie miałem żadnego. Góra przyszła do mnie.

– Myślisz, że możemy? – zapytała, głaszcząc kota. – Możemy go zabrać?

– Czemu niby nie?

– A jeżeli jest czyjś?

– Nie wiem.

Rozejrzałem się po okolicy, zupełnie jakbym chciał odnaleźć właściciela. Ale przecież to nie pies. Wychodzące koty były właściwie wolne. Czasami płaciły za tą wolność życiem. Zupełnie jak ludzie.

– Chybaby miał obrożę jakby był czyjś – powiedziałem. – Taką z imieniem czy numerem telefonu?

– Niekoniecznie.

– No to naprawdę nie wiem.

Zastanawialiśmy się nad tym dobrych kilka minut, rozważając różne opcje. W tym czasie kot położył się na plecach i łapkami zaczepił Klarę. Miał jasnobrązowy, niemal pomarańczowy brzuch w ciemne cętki. Niczym tygrys. No i nie widziałem pod ogonem ptaszka. Kotka jak nic.

– Jak myślisz, ile ma lat? – spytałem.

– Może gdzieś pół roku, nie więcej.

Przeszedł jeden człowiek, potem drugi. Przejechało kilka aut. Nie zwracano na nas za bardzo uwagi, ale ja i tak czułem się jak kryminalista. Porywacz albo złodziej. Jeszcze niczego nie zrobiłem, ale wina zdążyła mnie już przycisnąć.

– Zostań z nią, a ja pójdę po samochód – oznajmiłem w końcu.

– Myślisz, że możemy?

– Tak. Idę po auto i przyjadę po ciebie. Wezmę jakiś karton, żeby ją spakować. Pilnuj jej, żeby nie zwała.

– Naprawdę ją bierzemy?

– Tak.

– Jesteś pewien?

– Bo zaraz się rozmyślę.

– Dobrze. Idź.

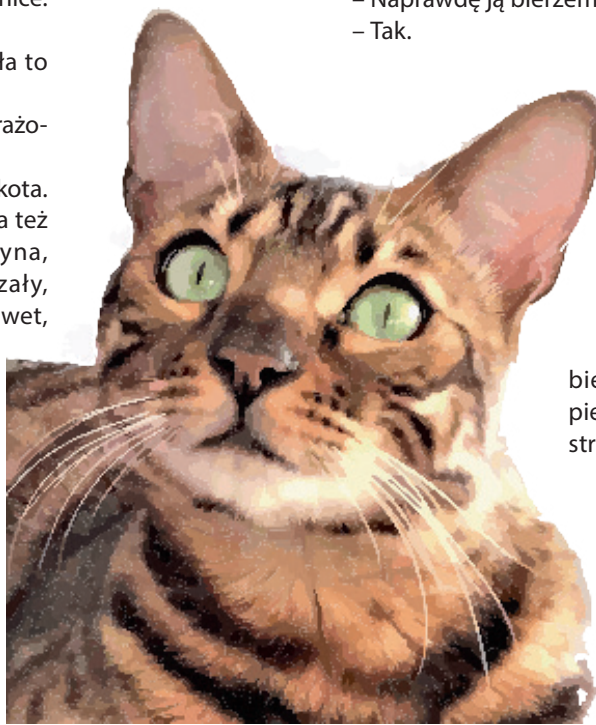
Poszedłem, a raczej pobiegłem. Nie wiem, co mi uderzyło do łba, żeby biec w koszuli, jeansach i butach na płaskiej podeszwie. Było ładne popołudnie, niedziela. Niezależnie od pory dnia ludzie patrzą na biegaczy jak na wariatów, a co dopiero gościa posuwającego w takim stroju. Totalny świr.

Gnałem między blokami, potem dosyć nowym skwem i wyleciałem na chodnik przy samej ulicy. Nie miałem jakoś daleko i było z górki, bo mieszkaliśmy w wieżowcu przy Węgierskiej, ale i tak się cholera zmęczyłem. Pomyślałem, że mógłbym w ogóle zacząć biegać, podobno to

zdrowe, ale zaraz przypomniałem sobie, że w pracy, dawno temu, rozwaliłem lewe kolano od dźwigania ciężarów. Echo roboty na czarno.

Na górę pojechałem windą z sąsiadem z dziesiątego. Facet był dawno po pięćdziesiątkę, miał wydatny kałdun i siwy łeb. Wąsa jednak wciąż zachował czarnego. Zapamiętałem go, bo strasznie był striggerowany politycznie, odzywał się w nim taki prawdziwy patriotą. Za każdym razem kiedy mnie spotykał, rzucał jakimis komentarzami. Nie miałem pojęcia czemu uznał, że jestem odpowiednim słuchaczem. Być może dlatego, że nigdy za dużo się nie odzywałem. A może po prostu każdemu o tym nadawał.

– Powiedzieli, że mamy węgla na dwieście lat, że mamy na dwieście lat wydobywania znaczy. No ale jednocześnie zamykają kopalnie, bo się nie opłaca. A teraz mówią nam, że będzie



brakować węgla na produkcję energii elektrycznej i będzie problem na zimę. Że będziemy marznąć, że będą energetyczne lockdowny i musimy ściągnąć węgiel zza oceanu. Jednocześnie są bite rekordy eksportu polskiego węgla za granicę. To jak w końcu? Jest ten węgiel czy nie ma tego węgla dla nas? Jest czy nie ma? Czytałem gdzieś, że podobno mamy ściągnąć z Ukrainy, bo oni mają dużo. Kraj ogarnięty wojną ma węgiel, my nie. Nie mówię już o horrendalnych marżach w cenie węgla, bo to jest jakiś nieśmieszny żart.

– My tu chyba mamy prąd z gazu. W Zielonej.

– No a gaz skąd ciągniemy? Od Niemiec tak? A Niemcy od kogo? Od Ruskich! Nadal od Ruskich! Czyli co u nas płynie? Ruski gaz! Takie to sankcje, cholera. Czy ten kraj nie jest chory?

– Wychodzi na to, że jest.

– Ja tu opowiadam i to brzmi niesłychanie, niemożliwie wręcz. No bo jak takie rzeczy. Każdy powie, że to jest nieprawda, że takie absurdy nie mogą mieć miejsca. Że to jest tak nedorzeczne, że nie może tak być. Ale to jest cholera prawda, gorzka, zaszara, smutna prawda. A najgorsze jest to, że sobie na to pozwalamy. Ja, pan, wszyscy. Pozwalamy sobie, więc robią z nami co chcą.

– Rozumiem.

– Dziwię się, że pan tutaj jeszcze siedzi, w tym kraju znaczy. W dzisiejszych czasach tyle możliwości, świat otwarty, wszędzie można jechać. Jakbym był młody teraz, to już dawno by mnie tutaj nie było. Szkoda życia cholera na to polskie bagno.

Rzuciłem coś niezbyt mądrego, chyba o tym, że spodziewam się kota, jakbym spodziewał się dziecka, potem powiedzieliśmy sobie „do widzenia” i wyszedłem z windy. Wziąłem klucze z mieszkania, znalazłem duży karton i znowu zjechałem na dół – tym razem sam. Wsiadłem do auta i pojechałem. Na rondzie Jana Pawła II dwie elki skutecznie hamowały ruch. Trafiłem z powrotem na Rydza i w końcu zaparkowałem na jedynym wolnym miejscu, czyli przejściu dla pieszych. Nie gasiłem silnika. Klara stała przy altanie i rozmawiała z jakąś starszą kobietą, a kot siedział pod zielonym śmietnikiem i obserwował wszystko z zaciekawieniem.

– Ma pan cudowną dziewczynę – oznajmiła mi kobieta, kiedy podszedłem. Miała na sobie zmęczony sweter i włosy w kolorze fioleto. – Ma naprawdę dobre serce, skoro chce zabrać tego kotka. Musi pan o nią dbać i trzymać się jej.

– Wiem o tym.

Powtórzyła mi o kocie to samo co wcześniej Klarze. Od dwóch tygodni ją dokarmiała. Często widziała, jak goni za ptakami, podobno atakowała wróble i gołębie. Widziała też, jak sama jest ofiarą – zwykle innych kotów, ale trafił się też lis. Na pewno do nikogo nie należała, teraz nie należała. Była za bardzo zadbana jak na dachowca. Komuś musiała się znudzić. Kobieta nie brała jej do siebie, bo miała w domu już takie dwa.

– Szczęść wam Boże – pożegnała się.

Wyciągnęliśmy kotkę spod śmietnika, nie było to łatwe, bo nie reagowała na „kici-kici”. Chwyliłem ją jedną ręką. Wydała się lekka jak powietrze, czułem jej twarde kości. Poszła całkiem sprawnie. Klara usiadła z tyłu i trzymała karton na kolanach. Zwierz całą drogę walczył o wolność, drapiąc karton i agonicznie zawodząc. Uspokoił się, kiedy weszliśmy do bloku. Na windę czekał sąsiad z psem, coś prawie jak buldog. Bydlak wyczuł chyba kota nosem. Zaczął szczeleć i ujadać.

– Pójdę na nogach, na górę. Ty jedź windą – powiedziałem.

Na schodach stawiałem ostrożne kroki, mocno dociskając karton. Musiałem uważać, żeby go nie upuścić, a kotka rzucająca się w środku wcale nie pomagała. Do tego miauczała jakby ją zarzynano.

– Miau, miau – powtórzyłem. – Uspokój się. Zaraz będziesz w nowym domu. Dostaniesz lepsze życie. Pomyśl tylko. Nie każdy kot dostaje taką szansę. Większość ginie pod kołami albo w lisich pyskach. Schronisko to przecież jak wygrać na loterii, a ty będziesz miała dom.

Na piątym piętrze z rozdarcia na pudełku wyskoczyła nagle szara łapa, chcąc mnie upieprzyć. Jakoś udało mi się ją wcisnąć do środka. Na siódmym pudełko rozwarło się z chrzęstem. Zanim wyskoczyła, wiedziałem, że mi spierdoli. Niestety czasami nie da się zapobiec biegowi zdarzeń, możemy być tylko biernymi obserwatorami.

Wystawiła łebek i momentalnie wyskoczyła. Zrobiła jeden wielki sus i przeleciała całe piętro w dół. Myślałem, że połamię się na miejscu. Ona jednak pobiegła dalej. Zostawiłem ten karton w cholerę i polecałem za nią na sam parter. Byłem przekonany, że dała nogę z bloku. Znalazłem ją jednak, skuloną w kącie. Cała się trzęsła, a jej limonkowe oczy zrobiły się ogromne, całkowicie czarne. Zjeżyła sierść, kiedy podszedłem. Zasyzczała groźnie. Spróbowałem ją złapać, ale pognęła na schody, z powrotem na górę. Poszedłem za nią i zadzwoniłem do Klary, że ma schodzić na dół. Spotkaliśmy się jakoś w połowie drogi. Kot pomiędzy nami. Klara z kartonem w rękach. Wziąłem go od niej, a ona jakimś sposobem złapała tego dzikusa. Głaskała ją tak spokojnie, z uczuciem, że prawie zrobiłem się zazdrosny. Znowu załadowaliśmy kotkę w karton. Tym razem jednak udało mi się zanieść ją do mieszkania.

– Połóż karton na środku – poleciła. – Sama wyjdzie jak zechce.

To ona była kociarą, kocią mamą, przygarnęła w domu rodzinnym trójkę, więc nie miałem nic do gadania. Ja nigdy za kotami nie przepadałem. A teraz miałem z jednym żyć na kilkudziesięciu metrach kwadratowych. Nowoczesna parka z miasta z pupilem zamiast dziecka – tak powie mój ojciec, kiedy tylko się dowie.

Położyłem pudło, a potem zajęliśmy się zwykłymi sprawami, zupełnie tak jakby ten kot i karton były tutaj od lat. Minęło kilka minut, zanim kotka wylazła ze środka. Najpierw chwilę wyglądała na ukrycia, badała teren po partyzancku. W końcu pognęła do kąta i schowała się za zasłoną. Podszedłem po cichu, odstąpiłem materiał i przez chwilę przyglądałem się jej. Wyglądała na przerażoną, na podłodze walały się kłęby włókna. Dałem spokój. Potem zszedłem na dół, do jedynego otwartego sklepu w okolicy. W środku zacząłem sprzedawcę o kocie żarcie i żwirek. Karmę mieli, pytanie o żwirek koleś wyśmiał.

– Wzięliśmy dziś kota ze śmietnika, wszystko pozamykane – wytłumaczyłem głupio, nie wiem dlaczego.

Nie wyglądał na kogoś, kto się przejął. Wziąłem jeszcze butelkę wina, które reklamowali jako lubuskie. Nie bardzo mi się chciało w to wierzyć, ale etykieta wyglądała autentycznie. Wróciłem do mieszkania. Kotka nadal siedziała w ukryciu, a Klara przygotowała nam kolację.

– Musimy jej zrobić toaletę, bo inaczej narobi nam na podłogę – oznajmiła.

Wymyśliłem, że kuwetę zrobimy z miski, a po piach pój-
dę na dół. Wziąłem ją ze sobą wraz z plastikową szufelką.
Pod blokiem, przy samej ulicy, stała skrzynia z piaskiem, ta
do posypywania chodników zimą. Otworzyłem ją. W środku
gniło mnóstwo śmieci, petów i paczek po papierosach i tro-
chę butelek. Wyrósł nawet pojedynczy mlecz. Odgarnąłem to
wszystko i zacząłem nabierać piachu do michy. Kiedy prze-
jechał samochód, podniosłem się i odwróciłem łeb w drugą
stronę. Czuję się jak menel.

Wróciłem, wziąłem dłuższy prysznic i na wieczór ot-
worzyłem tę butelkę wina. Klara nie chciała ze mną pić. Za-
uważyłem, że zrobiła się ostatnio straszną przeciwniczką
alkoholu – ja natomiast niestety coraz większym entuzjastą.
Siedzieliśmy i oglądaliśmy „Dziecko Rosemary” niemal wy-
luzowani, bo w końcu to horror, a kot nadal tkwił skitranym
gdzieś w mieszkaniu. Wszystko po staremu, kolejny zmarno-
wany dzień, ostatnie chwile wolności, na horyzoncie jutrzej-
szy kierat i cykl zaczyna się na nowo. Trudy pary urodzonej
w złym czasie i kraju. Spirala porażek i niepewności.

No dobra. Właściwie nie było tak źle. Znaczy było, ale my
dawaliśmy sobie radę w tych dziwnych czasach, mimo ros-
nącej drożyzny i słabo płatnej roboty, mimo widma wojny
i atomowej zagłady. W pracy przynajmniej nie wyrwaliśmy
sobie rękawów. Znaczy ja.

Poszedłem do łazienki i kiedy wróciłem, zastałem kotkę
siedzącą na udach Klary. Wydawały się zadowolone, obydwie.

- Nie przy kocie – syknęła.
- To go wyrzucę za drzwi.
- Chyba nie.

Przewróciłem się na bok, Klara zgasiła światło i poszliśmy
spać. Całą noc miałem dziwne sny. Coś o kotach, trochę o
diabłach, urywki z „Dziecka Rosemary”, kolorowe wizje, ogól-
ny bałagan i niepokój. Zbudziłem się kilka razy. W ciemności
odniosłem wrażenie, że Chilli siedzi na parapecie i bacznie mi
się przygląda. Poświeciłem tam telefonem, ale była to tylko
gra cieni i mroku. Kot nie leżał z nami w sypialni, nie wiedzia-
łem, gdzie poszedł.

Następnego dnia po pracy poszedłem na zakupy do kilku
sklepów. Musiałem kupić parę kocich rzeczy, w tym szampon.
Chciałem ją wykąpać – w końcu żyła na śmietniku.

- Nie wiem jak ty chcesz wykąpać kota – oznajmiła Klara
przy śniadaniu. – Przecież ona się od razu wyrwie.
- Jakoś ją wykąpiemy.

Przed powrotem do mieszkania wszedłem jeszcze do
marketu, który mieliśmy pod nosem, wziąć kilka podstawo-
wych produktów – w tym kilogram cukru. Nie było nic na
półce, wszystko wybrane, chyba medialna nagonka zebrała



Usiadłem na fotelu i zacząłem się im przyglądać.

- Musimy dać jej imię – powiedziała.
- Albo jemu.

Nie mogliśmy być na sto procent pewni, nie w XXI wieku.

– Albo jemu. Możemy wymyślić jakieś uniwersalne. Co
sądziś o Kitku?

- Nie bardzo.

W końcu uzgodniliśmy, że damy Chili. Także Chili pier-
wszej nocy spała na podłodze, na szarym dywanie i dziwne, że
spała po mojej stronie. Nie polubiła mnie za bardzo. W łóżku
objąłem Klarę i zacząłem się do niej dobierać, bo pomyśla-
łem, że należy mi się nagroda za taką dobroduszość. Zaczą-
łem całować ją za uchem.

zniwo. Gdzieś później czytałem, że ludzie wykupywali cukier
paletami, nawet tacy, którzy go nie potrzebowali. Kupiłem
dwa kila za jakiś tydzień, już dwa razy droższy, ale właściwie
zaczynałem się przyzwyczajać do gorzkiej herbaty.

Jakaś kobieta, chuda blondynka, wyglądająca na nałogow-
gą palaczkę, podjechała wózkami i popatrzyła na półkę.
Potem spojrzała na mnie. Jej błękitne, szkliste oczy nie miały
wyrazu. Pokiwała zrezygnowana głową i odjechała, rzucając
pod nosem:

- Będą chyba, kurwa, ten cukier tyżkami żreć.

W domu czekał na mnie obiad, kot i Klara. Powietrze pachniało czymś przyjemnym i dobrym. Może spokojem. A w tle cicho grało Myslovitz „Korova Milky Bar”.

- Udeptywała mnie dzisiaj – wyznała z dumą Klara.
- Tak? Co to znaczy?
- Że mnie kocha.
- Ja cię nie udeptyję.
- No to nie wiem, co o tym myśleć.

Drapak, który przyniosłem, obszedł Chili tyle co zeszłoroczny śnieg. W przeciągu tygodnia sprawiliśmy jej kilka kocich zabawek, kuwetę z prawdziwego zdarzenia, transporter, miski do jedzenia i inne pierdoły. Zamówiliśmy zdrowe żarcie z neta. Wydaliśmy na całość kupę kasy. Potem jeszcze więcej na samego weterynarza. Chili okazała się zdrowa – zdrowa jak ryba. No i potwierdziliśmy, że ma te pół roku – datę jej urodzin wybraliśmy na 14 lutego.

– Powinni wprowadzić na koty i psy jakiś socjal. Jakieś dwieście plus chociaż – powiedziałem któregoś razu.

Śmiałem się oczywiście, bo nic innego mi nie zostało. A pomysł z kąpaniem był bardzo głupi, ledwo udało nam się ją zamoczyć w wodzie. Wskoczyła jak oparzona. Przez tydzień miałem dwie cienkie, długie pamiątki na prawej dłoni.

– Kotów się nie myje – zawyrokowała Klara. – Robią to same.

– No zauważyłem – przyznałem. – Myć się i jeść to ona potrafi. I drzeć się. W repertuarze ma chyba tysiąc różnych dźwięków. I wszystkie kręcą się wokół żarcia.

– Jesteś wredny.

– Jestem. A ty kochasz ją już bardziej ode mnie, moje słońce.

– Oczywiście, że tak. Coś ty sobie innego wyobrażał?

Z każdym kolejnym dniem coraz bardziej przyzwyczajałem się do obecności zwierzęcia w domu. Spałem coraz lepiej, nie śniły mi się już latające koty ani piekielne bramy. Nieprawdziwy syn jednak nadal. No i czasami Chili na jawie, w środku nocy, gryząca moje palce. Klarę oczywiście polubiła od razu, to była miłość od pierwszego wejrzenia. Narzeczona nosiła ją prawie jak dziecko. Prawdziwa kocia mama, naprawdę. Śmiesznie to wyglądało, w ogóle było zabawne i godne politowania, ale sprawiało jej to autentyczną przyjemność. No i kotu też.

Ktoregoś wieczora, minął dobry tydzień, Chili wskoczyła na mnie, kiedy czytałem Kerouaca i zaczęła mi miauczeć w twarz. Popatrzyłem na nią, w jej szatańskie oczy. Klara była w łazience.

– Chyba nie jesteś diabłem, co Chili? – zapytałem. – Diablicą w skórze kotki, co?

Odpowiedziała szczeknięciem – o ile kot może szczekać. Odłożyłem książkę i pogłaskałem ją po jej małym kocim łebku. Zaczęła mruczeć i jej łapy zaczęły chodzić w dwusuwie. Udeptywała mnie, a małe orle szpony rozczapierały się i chowały z gracją.

– Klara! – krzyknąłem.

– Co?

– Chili mnie kocha.

– Tak?

– Tak jest.

Oczywiście, że po tych słowach kotka zawinęła ogonem – który ukradła jakiemuś szopowi – i uciekła z prychnięciem z sypialni. Weszła natomiast Klara i nie wróciłem do Kerouaca,

tylko dopadłem ją i już nie wypuściłem. Jej gęste, ciemne włosy spoczęły wachlarzem na poduszce, kiedy znalazłem się między jej nogami. Zrobiliśmy to i w trakcie czułem się jak ojciec, który kocha się z matką swojego dziecka. Dziecka, które śpi w łóżeczku w tym samym pokoju. A przynajmniej wyobrażałem sobie, że tak się czuję.

Kilka dni później dostałem przelew za jedno ze swoich opowiadań. Sprawilem sobie w nagrodę butelkę whisky i wróciłem z nią do domu. Chili była z nami już okrągły miesiąc i zdążyła się zadomowić – czyli zbić jedną doniczkę z kwiatem, rozwalić worek ze śmieciami na środku salonu, podrapać wszystkie krzesła i zjeść mi kanapki do pracy. No i szalała zawsze o drugiej w nocy, odpalała się na ostro i było to gorsze niż imprezy sąsiada z góry. Musiałem do niej wstawać niczym do małego dziecka. Siadałem w salonie, przy laptopie, a ona z fotela mnie obserwowała, powoli zasypiając. Wtedy tylko przychodził spokój.

– A co z tym opowiadaniem na konkurs? – zapytała mnie Klara.

– Jaki znowu konkurs? – odparłem.

– Ten o tematyce zielonogórskiej. Na 800-lecie miasta.

– Nie wiem. Nie piszę nic na konkursy. Nie umiem w konkursy.

– Jak chcesz.

Wyciągnąłem sobie szklanekę, dwie kostki lodu z zamrażarki i nalałem trochę whisky. Wypiłem drinka dosyć szybko. Potem zrobiłem sobie drugiego. Jego też wypiłem. Przy trzecim dopiero zwolniłem.

Siedziałem na kanapie i obserwowałem Chili. Nagle wstałem i podszedłem do drzwi wejściowych. Otworzyłem je i zawołałem ją.

– Co ty robisz? – zapytała Klara.

– Zobaczysz.

Chili podeszła i usiadła przed otwartymi drzwiami. Wyjrzała przez nie. Wydawała się zaintrygowana.

– Możesz iść – powiedziałem. – Jesteś wolna, kocie.

Zamruczała.

– Nie wygłupiaj się, bo uciekniesz – rzuciła Klara.

– Nie uciekniesz.

– Nie żartuj sobie.

Chili spojrzała mi w oczy. Bardzo mądry był z niej zwierz. I piękny. Charles Bukowski napisał kiedyś, że kot to piękny diabeł. Zgadzało się.

– Chcesz to możesz iść. Droga wolna.

Kotka wstała i odwróciła się. Zrobiła kilka kroków i wskoczyła na fotel. Znudzona.

– Widzisz? – powiedziałem. – Jest nasza.

Klara przewróciła tylko oczami.

Westchnąłem, zamknąłem drzwi i usiadłem przy stole. Laptop był otwarty. Odłożyłem drinka. No dobra, pomyślałem sobie. Mogę napisać to opowiadanie. Kilka nudnych zdań. Brak fabuły, wszystko na czuja, palce i głowa puszczone samopas. Najwyżej nic z tego nie będzie. Nie pierwszy raz.

Chili wskoczyła na stół i zajrzała do mojej szklanki. Przyjrzałem się jej uważnie. Kocia dzidzia i koci ojciec. Się porobiło.

– Uciekaj. Koty nie piją whisky – powiedziałem w końcu. – Tylko jedzą.

Chili wywiało z salonu. Klara spojrzała na mnie jak na głupka. Sięgnąłem po drinka. Napiłem się. No i zacząłem pisać.

Aleksandra „Mrówka” Łobodzińska

Rejs artysty uzupełnionego

Publikacja jest zapisem podróży w dwóch wymiarach – literacyjnych fantazmatów i technologicznego eksperymentu – które spotykają się w postaci książki scalającej w jedność obrazy i słowa. To także jedna z pierwszych (jeśli nie pierwsza) polskich publikacji, zilustrowana w całości przy użyciu sztucznej inteligencji.

„Maszyna Snów” to tom poetycki, jak wszystkie poprzednie publikacje Igora Myszkiewicza bogato ilustrowany. Tym razem zielonogórczanin powierzył wykonanie oprawy graficznej sztucznej inteligencji. Zastosowanie modelu dedykowanego syntezie tekstu w obraz, czyli Stable Diffusion wydanego w ubiegłym roku przez Stability AI, wydaje się – zwłaszcza w rękach artysty plastyka – wyborem dalece kontrowersyjnym. Generatory obrazu były rozwijane już od kilku lat, jednak dopiero w połowie 2022 r. upubliczniono modele tak zaawansowane (i jednocześnie proste w obsłudze), że wstrząsnęły środowiskiem artystycznym. Pojawienie się technologii, która umożliwia w ciągu kilku sekund wygenerowanie obrazu na podstawie wprowadzonego opisu, przeraziło i rozwścieczyło część artystów, którzy głośno i masowo zaprotestowali, inni z kolei entuzjastycznie przyjęli nowe, potężne narzędzie. Debata trwa, także etyczna i prawna, nie wszystkie jej formy są parlamentarne, osoby publikujące w sieci obrazy stworzone przy pomocy sztucznej inteligencji muszą liczyć się z wyzwiskami oraz zastraszaniem. Z drugiej strony prace stworzone w nowej technologii trafiają już na okładki książek, płyt, AI wspiera tworzenie filmów i gier. Podobnie wstrząsnęło światem sztuki chyba tylko pojawienie się w XIX wieku fotografii, także z początku zajadłe atakowanej, czy grafiki komputerowej sto lat później. Dziś nie wiadomo jeszcze, czy sztuka AI zostanie okrzyknięta wynalazkiem przełomowym, czy za jakiś czas zniknie w otchłani niechęci i indyferencji. A może AI stanie się tak oczywista, obecna w każdej aplikacji graficznej, że przestaniemy zwracać uwagę na jej naturę? Zobaczymy.

W „Maszynie Snów” artysta bada jej możliwości. Autor (choć tutaj) nie stosuje czarnowidztwa, bo nie opowiada się po żadnej ze stron. Podejmuje próbę współpracy. Rezygnuje też z ulubionej formy literackiej gawędy, prowadzonej barokowymi zdaniami, która ustępuje miejsca wierszom białym, ostrym i dekadentkim.

I. Myszkiewicz tak podsumowuje swój eksperyment: „Powstanie tej książki jest w dużej mierze dziełem przypadku, splotu dwóch wydarzeń, bardzo różnych. Pierwszym z nich był fakt odnalezienia, podczas porządków, moich nieszczęsnych prób poetyckich z czasów młodości. Drugim niedawne udostępnienie modułów AI zaprojektowanych do przetwarzania tekstu na obraz. Okazało się, że sztuczna inteligencja jest w stanie dokonywać syntezy obrazu na podstawie opisów, także metaforycznych, posługiwać się stylami artystycznymi, uczyć się i kompilować wiedzę. Inteligentna synteza obrazu, dostępna i przystępna dla wszystkich, szybka

i efektywna nie może pozostawić niezmienioną struktury rynku usług plastycznych (twórcy już zaczęli wyrażać swe zaniepokojenie) czy samej pozycji artysty. Biorąc pod uwagę jak spektakularne efekty osiągają udostępnione, wczesne przecież modele i jak szybko się uczą, są to obawy uzasadnione. Ja poczułem przede wszystkim ciekawość, odsłonił się nagle nowy obszar mapy. Postanowiłem zrobić eksperyment; moje wiersze zamiast wylądować gdzie ich miejsce, na dnie szuflady, trafiły jako tekstowa inspiracja w trzewia Stable Diffusion.

Trudno mi porównać z czymkolwiek to doświadczenie. Otrzymywałem wizje zaskakujące, przedziwne, a jednocześnie odnajdowałem w nich elementy moich snów i emocji! Jedne obrazy prowadziły do następnych, zmiana pojedynczego słowa, czasem nawet przestawienie jednej litery powodowały kolejne transformacje i iteracje. Nagle nie ograniczał mnie czas, ani technika, pomysły nie musiały już czekać. Nie miałem też wrażenia tylko pracy w programie, ale wręcz, hmm... współpracy? Nie czułem się przy tym jako artysta zastąpiony, raczej w jakiś sposób uzupełniony, poszerzony. Powstały grafiki niejednoznaczne, niedopowiedziane, pozostawiające pole dla wyobraźni odbiorcy. Obudziło to we mnie zapomniane wydawałoby się emocje i nagle techniczny eksperyment przemienił się w podróż do mojej osobistej krainy cieni i po trwającej trzy dekady przerwie zacząłem pisać nowe wiersze. Nie dotarłem do granic możliwości nowego narzędzia, to zaledwie początek drogi”.

Książka nie jest więc tym, czym miała być w pierwotnym zamierzeniu autora; zamiast zbioru wierszy z czasów młodości, eksperyment technologiczny zainspirował powstanie opowieści o czytaniu wierszy z młodości... po młodości. Ilustracje są tu równie ważne jak tekst, płyniemy przez oniryczne wizje rozpadających się światów, pulsujące kłęby nocnych koszmarów, wnętrza fantastycznych sanktuariów. Jesteśmy świadkami dialogu, człowiek szepcze wiersze, a maszyna je śni. Rodzi się nowy rodzaj artystycznej symbiozy.

Na marginesie można odnotować fakt, że u tego twórcy najmniejszy skrawek artystycznej realizacji – bez względu na pole – nigdy nie podlega marnacji. Wiersze mogą spokojnie przeleżeć w szufladzie wiele lat, tak samo jak komiksy czy grafiki. Na każdej z nich przyjdzie czas, chociaż nie jest powiedziane kiedy i w jakiej formie. Czy dwudziestoletni I. Myszkiewicz podejmując swe pierwsze poetyckie próby mógł przewidzieć, że trzy dekady później obraz, czyli ciało, nada im sztuczna inteligencja? Coś, co kojarzył jako cud techniki rodem z filmów science-fiction? Chyba tylko w snach.



Igor Myszkiewicz, „Maszyna Snów” AI, Zielona Góra 2022, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, 120 s.

Powieści o tym co było i do czego może dojść

W 2022 roku wypadł jubileusz 15-lecia pracy twórczej zielonogórskiego pisarza Krzysztofa Koziołka. W tym okresie wydał on 17 książek różnego gatunku, od thrillerów, przez klasyczne kryminały, powieści obyczajowe, przygodowe, po kryminały retro i noir.

Pisarz zadebiutował w 2007 r. powieścią sensacyjną „Droga bez powrotu”, w 2009 wydał kryminał skandynawski „Święta tajemnica” (nominowany do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego), w 2010 autor został zgłoszony do Paszportu Polityki 2010 i nominowany do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za powieść „Miecz zdrady”. W 2011 r. K. Koziołek otrzymał Lubuską Nagrodę Literacką dla najbardziej obiecującego lubuskiego pisarza. W 2016 r. jego powieść „Furia rodzi się w Sławie” została nominowana do nagrody Kryminalna Piła za najlepszy polski kryminał miejski. W 2018 r. za kryminał retro „Wzgórze Piastów” i całokształt twórczości otrzymał Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka”. W 2019 r. za kryminał retro „Nad Śnieżnymi Kotłami” otrzymał nagrodę „Książka Górska Roku”.

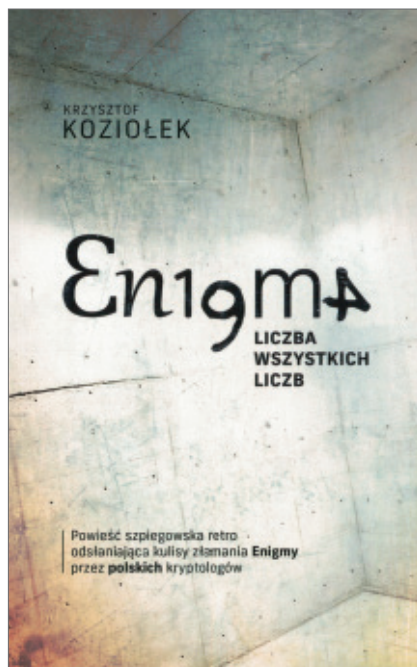
Do szerokiego wachlarza gatunków literackich wykorzystywanych przez K. Koziołka w 2022 r. doszły jeszcze powieść szpiegowska oraz thriller post-apo. Ta pierwsza to „Enigma: liczba wszystkich liczb”, na napisanie której autor otrzymał stypendium twórcze Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jest to fabularyzowana historia jednego z największych sukcesów polskich służb kontrwywiadowczych z okresu drugiej wojny światowej, czyli złamania kodu tytułowej maszyny szyfrującej Enigmy, uznanej przez wywiady światowych mocarstw, jak Francja czy Wielka Brytania jako „nie do złamania”. K. Koziołek połączył fakty historyczne ze swoistym kolorytem międzywojnia i lat późniejszych, konstruując arcyciekawy portret ówczesnych realiów społecznych. Wnikliwie odtworzył postaci Mariana Rejewskiego, Henryka Zygalskiego i Jerzego Różyckiego, polskich kryptologów, którym udało się

pokonać Enigmę. Kolejnym bohaterem jest Edmund Lorenc – agent wywiadu, ale i człowiek pogubiony – zmagający się z trudną rzeczywistością zawodową i wymaganiami życia rodzinnego, który niepostrzeżenie zostaje uwikłany w sam środek działań Abwehry.

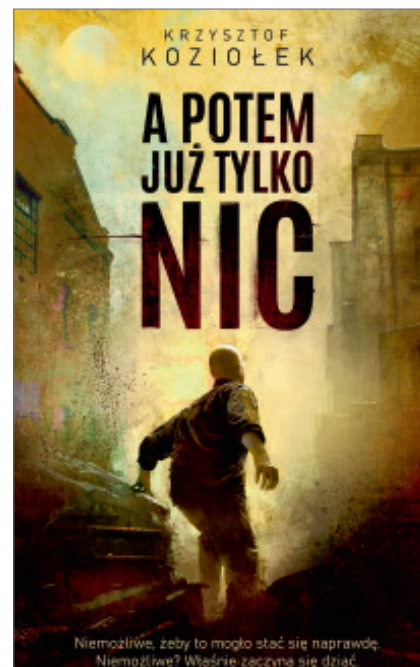
Z tej podróży w przeszłość K. Koziołek po paru miesiącach przeniósł czytelników w przyszłość, czyli do Zielonej Góry roku 2031. Polska przegrała w światowej wojnie o wodę, zaś większością ziemskich zasobów zarządza

z trudem wystarczają na pokrycie podstawowych kosztów. Nawet mała butelka wody to „być lub nie być”. Główny bohater, Jan Krzyk z Enklawy Zielona Góra, dochodzi do punktu, w którym nie ma już w zasadzie wyboru. Decyduje się na bardzo odważny, ale i szalony krok. To wszystko w imię miłości do córki i w trosce o jej przyszłość...

Pozostaje tylko nadzieja, że jest to powieść akcji, rozrywkowa, ale w żadnym wypadku nie profetyczna, choć jak przyznali goście na spotkaniu au-



Krzysztof Koziołek, „Enigma”, Manufaktura Tekstów, Nowa Sól 2022, 624 s.



Krzysztof Koziołek, „A potem już tylko nic”, Manufaktura Tekstów, Zielona Góra 2022, 476 s.

kilka międzynarodowych korporacji. Lokalne samorządy to fikcja, regionami rządzą przedstawiciele koncernów dystrybuujących wodę i ustalający jej cenę. W naszym kraju trwa niekończący się stan wyjątkowy, działanie konstytucji i praw obywatelskich jest zawieszane. Kradzież wody jest surowo karana, włącznie z karą śmierci. Internet jest cenzurowany, a rozmowy telefoniczne podsłuchiwane. Działa tylko jedna – rządowa – stacja telewizyjna. Obowiązuje godzina policyjna, a przemieszczanie się ludzi jest ściśle kontrolowane. Obywatelom trzeciej i czwartej kategorii wypłacane pensje

torskim z K. Koziołkiem, które miało miejsce w grudniu 2022 r. w Muzeum Ziemi Lubuskiej, wiele z jego pisarskich wizji dotychczas się sprawdziło. Należy dodać, że obydwie omawiane powyżej książki kandydowały do Lubuskiego Wawrzynu Czytelników 2023. Warto zaglądać na autorską stronę pisarza, <http://krzysztofkoziolok.pl/>, z której zaczerpnęłam niektóre zamieszczone tu informacje.

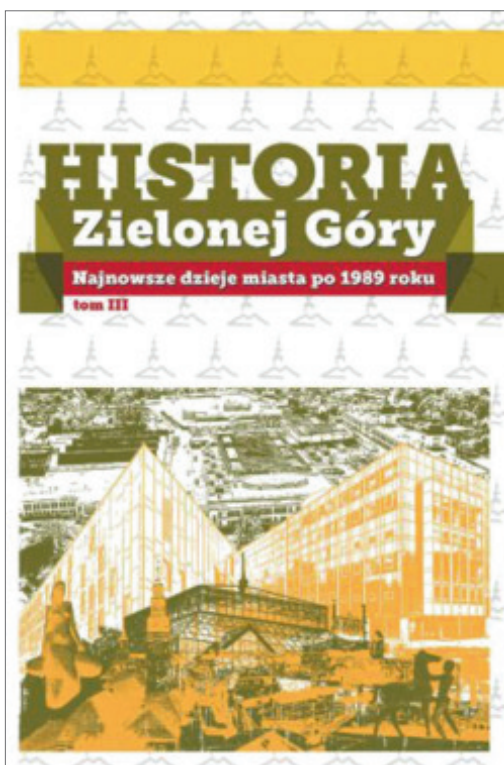
Ponad 30 lat miejskich spraw na 804 stronach

Pod koniec 2022 roku ukazał się trzeci tom „Historii Zielonej Góry”, który obejmuje zagadnienia związane z funkcjonowaniem miasta po 1989 r. Jego wydanie można określić jako uwieńczenie obchodów jubileuszu 800-lecia Winnego Grodu i 700-lecia uzyskania praw miejskich.

Pierwszy tom wyszedł w 2011 r. Obejmuje on zakres chronologiczny do końca XVIII wieku, a zawiera teksty dotyczące takich zagadnień, jak: archeologia osadnictwa, Zielona Góra do schyłku XV stulecia, a następnie pod berłem habsburskim, czasy pruskie, życie społeczno-religijne do 1806 r., szkolnictwo, rozwój miasta, w tym przestrzenny, pieczęcie i herby Zielonej Góry. Tom ten jest właściwie już niedostępny do kupienia, chyba że przypadkowo na portalu aukcyjnym, jednak tam osiąga ceny rzędu kilkuset złotych. Na szczęście jest dostępny w wersji cyfrowej w Zielonogórskiej Bibliotece Cyfrowej (<https://zbc.uz.zgora.pl/dlibra/publication/65846/edition/59010/content>).

Drugi tom ukazał się bardzo szybko, bo już rok później (2012). Jest on o wiele obszerniejszy, bowiem zawiera dzieje XIX-i XX-wiecznej Zielonej Góry. Zawarte w nim zostały, jak w poprzednim, opracowania ekspertów z różnych dziedzin, naukowców zasłużonych w środowisku akademickim, m.in. polityka i ustrój miasta do 1914 r., (życie religijne, społeczeństwo i gospodarka, szkoły i szkolnictwo miejskie, ochrona przyrody do 1945 r., miasto w latach 1914-1945, pierwsze lata polskiego już Grodu Bachusa, społeczeństwo i polityka do 1980 r., gospodarka i demografia w tym okresie. Publikacja również jest dostępna w ZBC (<https://zbc.uz.zgora.pl/dlibra/publication/65847/edition/59011/content>).

Powstały po dekadzie trzeci tom „Historii” jest naturalną kontynuacją poprzednich, a zarazem ujmuje już moment transformacji ustrojowej i lata po niej, właściwie aż do dziś, jeśli wziąć pod uwagę artykuły ukazujące działalność zielonogórskich instytucji kultury (teatru i bibliotek – Andrzej Buck; muzeów – Longin Dzieżyc; filharmonii – Barbara Literśka; ZOK-u – Izabela Korniluk; RCAK-u – Alina Polak-Woźniak). Jeśli chodzi o sztuki plastyczne to szczegółowo omówił je Leszek Kania. Radosław Domke z Tomaszem Grzybowskiem i Maciejem Noskowiczem przedstawili sport aż do 2021 r. Do tradycyjnych zagadnień poruszanych w poprzednich tomach (Rozwój przestrzenny – Anna Bazan-Krzywośzańska; demografia – Dorota Szaban, Krzysztof Lisowski;



„Historia Zielonej Góry. Najnowsze dzieje miasta po 1989 roku”, tom III, red. Wojciech Strzyżewski, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2022, 804 s.

archeologia – Bartłomiej Gruszka; przyroda, środowisko – Leszek Jerzak wraz z Kamilą Rogaczewską, Weroniką Zielińską i Piotrem Redą; gospodarki – Cz. Osękowski; edukacji – Bogumiła Burda i Małgorzata Szymczak, spraw uniwersyteckich – Dariusz Dolański) doszły nowe kwestie mające związek zarówno ze wspomnianą przemianą ustrojową, ale również upowszechnieniem się zdobyczy techniki, w tym szczególnie internetu. Po 1989 r. w Polsce zaczęły się kształtować struktury samorządu terytorialnego i w odniesieniu do naszego miasta kwestię tę omówił Cz. Osękowski. Preferencje wyborcze zielonogórczan zbadał Robert Skobelski. Rozwijające się cały czas społeczeństwo obywatelskie za pomocą wybranych NGO-sów i organizacji ukazali Agnieszka Opalińska i Przemysław Bartkowiak. Działalność mass mediów (prasa, radio telewizja) opisali eksperci posiadający osobisty doświadczenie w tym zakresie, Magdalena

Steciąg, Kaja Rostkowska i Janusz Łastowiecki. Do szerzej rozwiniętych wątków należy też ochrona zdrowia przedstawiona przez Jacka Kotułę. Zielona Góra szczyci się pluralizmem wyznań religijnych istniejących w mieście, i tak, o katolikach napisał Robert R. Kufel, o ewangelikach Wolfgang J. Brylla, o prawosławnych i grekokatolikach Stefan Dudra. Gród Bachusa wyróżnia się w kraju liczbą czynnie działających i produkujących winnic, więc nie mogło zabraknąć rozdziału o odradzaniu się miejscowego winiarstwa. Jego autorem jest niekwestionowany autorytet w zakresie dziejów winogronowego trunku na naszym terenie – Mirosław Kuleba. Być może całość trafi wkrótce w wersji zdigitalizowanej do ZBC.

Od ubiegłego roku obserwujemy gwałtowne przyspieszenie historii światowej. Oczywiście wszystko, co się dzieje gdzieś tam, daleko, ma znaczący wpływ na nas i nasze miasto (wspomnieć choćby o tysiącach obywateli Ukrainy, którzy znaleźli tu schronienie przed wojną). Na tej podstawie można zakładać, że za kilka lat powstanie czwarty tom „Historii Zielonej Góry”, uzupełniony o najświeższe przemiany struktury demograficznej miasta, a może nawet o kwestię wpływu internetu i rozwijającej się w gwałtownym tempie sztucznej inteligencji na życie zielonogórczan.

Nasze rewiry winiarskie i pisarskie

Jeszcze bardziej kwaśne niż zielonogórskie było wino sulechowskie, a najbardziej kwaśne babimojskie – twierdzi Mirosław Kuleba. „Pro Libris” jako pierwsze spośród czasopism wydawanych w Zielonej Górze doczekało się monografii pióra prof. Jolanty Chwastyk-Kowalczyk z uniwersytetu w Kielcach.

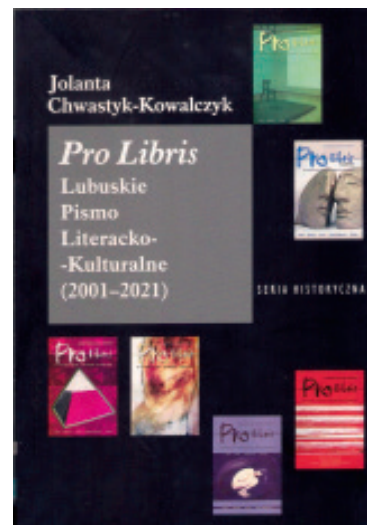
Pod koniec 2022 roku ukazała się kolejna książka Mirosława Kuleby. Zielonogórzanin do niedawna był bardziej znany jako autor reportaży pokazujących wojnę w Czeczenii. Pisał pod własnym nazwiskiem i pod pseudonimem. M. Kuleba sam zajmuje się uprawą winorośli i produkcją wina, a swoje doświadczenia w tej dziedzinie z wielkim sukcesem przenosi do książek. Jest również znakomitym znawcą dziejów winiarstwa i autorem tekstów na ten temat, o czym za chwilę. W 2014 r. wydał liczącą 1147 stron „Enografię Thalloris”, uhonorowaną Lubuskim Wawrzynem Literackim i nagrodą Palmares w Paryżu przez międzynarodową organizację winiarską. W 2022 r. wyszła jego praca „Enografia mistyczna miasta Thalloris”, składająca się z 39 esejów. Słownik języka polskiego nie podaje znaczenia słowa „enografia”, a zatem jest to neologizm stworzony przez M. Kulebę: z języka greckiego „eno” – wino i „graphio” – piszę. „Thalloris” to pochodząca z greckiego nazwa Zielonej Góry, znacząca tyle, co „zieleniejąca”. O czym jest ta książka, wyjaśnia prof. Małgorzata Mikołajczak we wstępie: „Każda z opowieści o winie, mimo że dotyczy konkretnego miejsca, czasu i osoby (bądź osób), transcenduje »tu i teraz«. W każdej do głosu dochodzi wizyjność, która przenosi w rejony pamięci, zarówno tej indywidualnej, jak i kulturowej. Zielona Góra, tytułowa Thalloris, przepuszczona przez ów pryzmat, rozwarstwia się i zwielokrotnia. Wyobraźniowe fantazmaty mieszają się z realnymi zdarzeniami, obrazy sprzed wieków nakładają się na niemiecką przeszłość miasta, a osobnym źródłem obrazów (i wątków) są wspomnienia rodzinne i reminiscencje autobiograficzne. Całość tych przed-



Mirosław Kuleba, „Enografia mistyczna miasta Thalloris”, Zielona Góra 2022, wyd. Pro Libris, 172 s.

stawień wpisana została w bogate uniwersum znaków literackich, plastycznych, muzycznych.” Obco brzmią tytuły esejów, na przykład „Abendmahlwein” (wino mszalne), „Hohnberger” (wino pochodzące ze wzgórze o takiej samej nazwie). Innymi tytułami autor przypomina rewiry winiarskie, np. „Rohrbusch”. Książkę dopełnia długi spis objaśnień tekstu i fotogramy Czesława Łuniewicza. Jej wadą może się okazać niehandlowa, to znaczy nieczytelna okładka.

W latach 1957-1989 ukazywało się czasopismo społeczno-kulturalne „Nadodrze”. Mimo że przez Lubuszan jest uznawane za legendarne, nie doczekało się większego opracowania monograficznego. Więcej szczęścia ma „Lubuskie pismo literacko-kulturalne »Pro Libris«”. W dwudziestym roku ukazywania się tego periodyku, wyszła monografia pióra prasoznawczyni prof. Jolanty Chwastyk-Kowalczyk z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. Autorka przeanalizowała 77 numerów „Pro Libris”, poczynając od 1 i kończąc na ostatnim z 2021 roku. We wstępie zaznaczyła, że celem „opracowania jest udowodnienie, że zielonogórski periodyk »Pro Libris« współuczestniczy i odgrywa istotną rolę w rozwoju kulturalnym regionu Ziemi Lubuskiej oraz pogranicza, że pomaga określić poczucie tożsamości mieszkańców regionu tworzone przez środowisko literacko-artystyczno-naukowe”. Wydawcą czasopisma od samego początku jest Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Zielonej Górze. Jego nakład waha się od 250 do 400 egzemplarzy. Format jest niezmienny, wynosi 23 x 16 cm. Objętość od 148 do 190 stron. Pismo bywało kwartalnikiem lub półrocznikiem, wychodziły numery specjalne. Część tekstów w pierwszych numerach było po niemiecku. Jak obliczyła autorka monografii, w „Pro Libris” ukazało się 2317 tekstów, wśród nich było 1512 poetyckich, 291 prozatorskich, 514 recenzji, 234 krytycznoliterackie. W piśmie debiutowało 31 osób. „Pro Libris” nie zamykało swoich łamów przed autorami z innych regionów niż Środkowe Nadodrze. Na podstawowe pytanie, czy udało się zrealizować cele i zamierzenia twórców czasopisma, autorka tak odpowiada: „Można uznać, że w pełni, bowiem na łamach periodyku publikowali właściwie wszyscy liczący się twórcy, mieszkający w regionie”. Profesorka powtórzyła po redaktorze naczelnym „Pro Libris”, że „udało się stworzyć coś w rodzaju świadomości miejsca, określanego Ziemią Lubuską”. A co jest bolączką periodyku? Autorka opracowania twierdzi, że „niesatysfakcjonująca promocja, co nie pozwala mu stać się w pełni periodykiem ogólnokrajowym o globalnym zasięgu”.



Jolanta Chwastyk-Kowalczyk, „»Pro Libris« Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne (2002-2021)”, Warszawa 2022, Wydawnictwo Naukowe i Edukacyjne Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, 168 s.

Od tygodnika do dziennika który pogrążyła loteria

Próby powołania drugiej gazety codziennej na Środkowym Nadodrzu istniały od połowy lat osiemdziesiątych XX wieku. Jedynym dziennikiem wydawanym w Zielonej Górze od 1952 (1950) r. była „Gazeta Lubuska” (wcześniej „Gazeta Zielonogórska”). Sytuacja zmieniła się jesienią 1990 r., kiedy na rynku prasowym pojawiła się „Gazeta Nowa”. Dziennik istniał do 1993 r.

11 stycznia 1990 r. ukazał się pierwszy numer tygodnika „Gazeta Nowa”. Jego pomysłodawcą i redaktorem naczelnym był Edward Mincer, dziennikarz zielonogórskiej rozgłośni Polskiego Radia. Jako wydawca w stopce redakcyjnej widnieje firma Alpo założona przez Aleksandra Polańskiego, dotąd zajmująca się inną działalnością niż wydawnicza. Zespół redakcyjny tworzyły osoby mające niemałe doświadczenie dziennikarskie, jak i początkujący publicyści, w większości związane z ruchem solidarnościowym. Tygodnik postawał tzw. techniką składu gorącego w drukarni prasowej należącej do Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego. Pierwsza redakcja mieściła się przy pl. Bohaterów Stalingradu 13 (obecnie Stary Rynek). Później znajdowała się krótko przy ul. Bohaterów Westerplatte 30 i do końca wydawania „GN” przy al. Niepodległości 22. Po wyborach samorządowych 1990 r. E. Mincer został zastępcą prezydenta Zielonej Góry. Obowiązki redaktora naczelnego tygodnika przejął Andrzej Buck, mający doświadczenie dziennikarskie nabyte w czasach studenckich, kiedy między innymi redagował czasopismo „Faktor” i współpracował z dwutygodnikiem „Nadodrze”.

8 października 1990 r. „GN” wyszła jako dziennik. „Pragniemy stać się otwartym forum prezentującym zróżnicowane poglądy z poszanowaniem chrześcijańskich wartości” – deklarowała redakcja. Pierwszy numer miał osiem stron. Główna redakcja znajdowała się w Zielonej Górze, oddziały były w Gorzowie i Głogowie, potem i w Lubinie. Trzon zespołu redakcyjnego tworzyli ci, którzy zaczęli pracę w tygodniku. Do tej grupy dołączyło dziesięć dziennikarzy „Gazety Lubuskiej”, wśród nich cały dział sportowy. Liczne było grono współpracowników redakcji, która liczyła blisko 100 osób. Wśród nich dział ogłoszeń „GL”, przeszedł do nowego dziennika.

Dość szybko „GN” opanowała nowe techniki składu i druku. Była łamana w budynku redakcji przy pomocy komputera i tam naświetlana, drukowana w tej samej drukarni co „GL” techniką tzw. fotopolimerów, co wówczas była nowością. Ukazywała się jako czarno-biała z niebieską winietą. W szczytowym okresie popularności nakład codzienny sięgał 40-60 tys. egzemplarzy. Najpierw ukazywały się mutacje: zielonogórska, gorzowska i głogowska, potem doszły do nich lubińska i żarska. Na czterech pierwszych stronach gazeta umieszczała bieżące informacje zaczerpnięte z serwisów Polskiej Agencji Prasowej i teksty informacyjne przygotowywane przez dziennikarzy. Numer zamykała strona sportowa. Każde wydanie codzienne zawierało wkładkę, na przykład „Doma w GN”, „Rodzina GN”, „Towarzyska GN”. W piątki oprócz

wydania codziennego ukazywał się „Magazyn”, składany i łamany w Poznaniu i tam drukowany techniką offsetową. Jego nakład sięgał 200 tys. egzemplarzy. W soboty wychodziło wydanie „Weekend” z dużą ilością informacji kulturalnych i o imprezach sportowych.

W 1992 r. wydawca „GN” zainicjował loterię Lotto Nowa, a redakcja dołączyła do gazety tzw. zdrapkę. Uczestnicy loterii mogli wygrać wartościowe nagrody. Było to nowe zjawisko marketingowe na lubuskim rynku prasowym. A. Buck uważał, że „nieprawidłowości w jej organizacji w rezultacie stały się bezpośrednią przyczyną procesu utraty zaufania do »GN«”. „Drastycznie zmalała sprzedaż – pisała Halina Ańska-Skarbek – aż doszło do tego, że niekiedy połowa dziennego nakładu szła na makulaturę”. Nabywców „Magazynu” było nie więcej niż 40 tys. Gazeta znalazła się na skraju bankructwa. 1 lutego 1993 r. firma Alpo sprzedała dziennik Oficynie Wydawniczej „Głos Wielkopolski”. W tym czasie już było głośno o zmianach w podziale administracyjnym Polski. Wśród 12 projektowanych województw nie było lubuskiego, a Środkowe Nadodrze miało być podzielone między Pomorze Zachodnie, Wielkopolskę i Dolny Śląsk. „GN” stawała się podobna do „Głosu Wielkopolskiego” nie tylko ze względu na redagowanie, lecz i łamanie, do czego nie byli przyzwyczajeni czytelnicy lubuscy.

Kolejnym właścicielem „GN” została firma Roko, zajmująca się handlem napojami alkoholowymi. Kierownictwo redakcji objęła H. Ańska-Skarbek, wcześniej pracująca w „Sztandarze Młodych” i dwutygodniku „Nadodrze”. 26 sierpnia 1993 r. ostatni raz wyszła „Gazeta Nowa”. „Z dniem jutrzejszym »GN« przestaje się ukazywać. Jej miejsce na rynku prasowym zajmie »Codzienny Express Zachodni« – poinformowała redakcja.



Pierwsza strona pożegnalnego numeru „GN” – czwartek, 26 sierpnia 1993 r.

Tomasz Kowalski
Sylwester Woźniak

Prymuska polskiego kabaretu

Do Joanny Kołaczkowskiej przyłgnął przydomek królowej kabaretu. Pewnie nie zgodziłaby się z nim, ale z drugiej strony zagrała w filmie „Szewczyk Dratewka”, który jest parodią serialu „Gra o tron”. W filmie to Aśka, czyli królowa, jest najważniejszą osobą w całym państwie.

W przeciwieństwie do baśni w kabarecie nie można urodzić się królową. Zyskanie tego tytułu jest konsekwencją systematycznej pracy, talentu i scenicznego doświadczenia. Pierwsze próby aktorskie mała Asia podejmowała już w szkole podstawowej i średniej. Wówczas to brała udział w szkolnych

jej szwagier, Dariusz „Kamol” Kamys. Chciała studiować na kierunku pedagogika kulturowo-oświatowa. Egzamin wstępny wymagał praktycznego zaprezentowania umiejętności scenicznych. Na przykład należało wyrecytować fragmenty poezji lub prozy. Dariusz wpadł na pomysł, aby Joanna wygłosiła jeden z wierszy socrealistycznych z lat 50. XX stulecia. Dzięki temu dostała się na studia.

W ich trakcie uczęszczała na fakultet teatralny prowadzony przez Romana Więckowskiego. Równocześnie Kamol zainspirował się do stworzenia kabaretu w oparciu o socrealistyczny repertuar. W ten sposób powstała grupa Drugi Garnitur. W pierwszym składzie jednak nie znalazła się Aśka! Na jedną z prób zabrał ją kolega z roku, czyli Adam Nowak. W książce „Historia Zielonogórskiego Zagłębia Kabaretowego” Aleksandry „Mrówki” Łobodzińskiej i Marcina Olechnowskiego można doszukać się wyjaśnień tej sytuacji. Na samym początku Joanna miała duże kompleksy. Gdy zobaczyła, w jaki sposób może wyglądać gra kabaretowa, to stwierdziła, że wszystko to, co robiła wcześniej to „wielki syf”. W książce zamieszczona została również wypowiedź Kamola, który

Spotkania te odbywały się w klubie studenckim Alma Art w parku Tysiąclecia. Były to imprezy tematyczne – lekarskie, kryminalne czy wampiryczne. Joanna w czasie jednego z takich występów zapomniała tekstu i zeszła ze sceny. A. Nowak podbiegł do niej i zawołał: „Nie możesz tego robić, nie możesz schodzić ze sceny!”. Rzeczywiście, taka porażka mogła rodzić niechęć do dalszych występów.

Działalność grupy Drugi Garnitur polegała na parodii wierszy z okresu stalinowskiego, co w rzeczywistości końca lat 80. wywoływało salwy śmiechu. Formacja działała niecałe dwa lata, ale w tak krótkim czasie osiągnęła znaczne sukcesy. Asia z Drugim Garniturem w kwietniu 1988 roku pojechała na Pakę do Krakowa, gdzie kabaret zdobył Grand Prix. W tym samym roku, w lipcu, pojechała z zespołem do Świnoujścia na Famę. W tym konkursie sam Drugi Garnitur uzyskał Grand Prix, a Asia została wyróżniona nagrodą indywidualną. To były narodziny gwiazdy niczym w jakimś hollywoodzkim filmie.

Po rozwiązaniu Drugiego Garnituru Asia zasiłowała zespół reaktywowanego przez Władka Sikorę Kabaretu Potem (1989-1999). Była gwiazdą wszystkich potemowskich programów, jak na przykład: „Bajki dla potłuczonych”, „Dzikiemu muzy”, „Tam i z powrotem, czyli program pożegnalny”. W międzyczasie zaczęła tworzyć własne teksty, piosenki i nagrywać filmiki. Dużą możliwością dała jej wytwórnia filmów A'YOY, gdzie Aśka była jedną z czołowych twórczyń. Oprócz tego wystąpiła w kilku długometrażowych filmach reżyserowanych przez W. Sikorę. Wśród nich należy wymienić między innymi: „Baśń o ludziach stąd”, „Robin Hood – czwarta strzała”, „Dr Jekyll i Mr Hyde”. Teksty oraz filmy autorstwa J. Kołaczkowskiej charakteryzują się dużą dawką surrealizmu i bardzo specyficznego humoru. Świadczy o tym chociażby dzieło „Zadziwiająca praca umysłu”, które można obejrzeć w internecie. Warto dodać, że Aśka nigdy nie pogodziła się z zaprzestaniem działalności wytwórni A'YOY, na



fot. Archiwum bohaterki

Joanna Kołaczkowska twierdzi, że zawsze była sprytna, a ten spryt zaprowadził ją do tego miejsca, w którym znajduje się obecnie

przedstawieniach oraz parodiowała znanych artystów i przebierała się za gwiazdy muzyki rozrywkowej. Po ukończeniu szkoły postanowiła opuścić rodzinny Lubin i wyjechała na studia. Wybrała Zieloną Górę, gdzie studiował

stwierdził, że odnośnie Drugiego Garnituru nawet nie pomyślał o Asi. Według relacji samej zainteresowanej brak wiary we własne zdolności mógł wynikać z niepowodzeń podczas jej występów w ramach Dziadowskich Czwartków.

co może wskazywać chociażby fakt, że po jej formalnym zawieszeniu nakręciła kilka własnych filmów pod jej szyldem.

Asia brała udział w najróżniejszych projektach. Jednym z nich była Stajnia Niemożliwych, tworzona przez kilka połączonych grup artystycznych, jak np. Dybuk czy Kibuc. Działy one na pograniczu teatru absurdu i kabaretu surrealistycznego.

W 1999 r. po rozwiązaniu Kabaretu Potem Asię można było określić mianem bezrobotnej artystki. W tym czasie zajęła się regulowaniem życia osobistego, m.in. przeprowadziła się do Warszawy i ponownie wyszła za mąż oraz zajęła się dzieckiem. Jednak nie wyobrażała sobie życia poza sceną, zresztą podobnie jak D. Kamys. Dlatego, kiedy zaproponował jej wstąpienie do nowej grupy – Kabaretu Hrabi – to bez wahania się zgodziła. Nowy projekt był częściową kontynuacją Kabaretu Potem i to z dwóch powodów. Jednym z nich jest to, że w połowie tworzony jest przez ludzi wywodzący się z potomów, czyli Asię i Kamola. Drugim jest to, że Hrabi kontynuuje jakość programową i poczucie humoru dawnej formacji. Równolegle Joanna brała udział w innych inicjatywach, np. nagrała piosenkę „Zróbmy to razem” z poznańskim chórem gospel. Grała również w improwowanym serialu „Spadkobiercy”, gdzie była zaginioną córką miliardera. Robert Górski zaprosił ją do kabaretowego programu „Historia literatury polskiej”. Oprócz tego wzięła udział w teledysku z rockowym zespołem Nocny Kochanek, a na Boże Narodzenie 2022 r. nagrała piosenkę „Very Cherry Merry Christmas”.

Droga Asi Kołaczekowskiej po koronę sceny kabaretowej to spełnienie snu. Rozpoczynając karierę miała spore problemy z wiarą w siebie, jakąś wewnętrzną blokadę. W ciągu dwóch lat jednak stała się gwiazdą polskiej sceny kabaretowej. Każdy następny rok występów powodował wzrost jej kunsztu artystycznego, który zaprowadził ją na szczyt.

W opublikowanym w „Magazynie Gazety Wyborczej” wywiadzie (12-13 lutego 2023 r.) Aśka wyznała, co lubi, czego się boi i co ją najbardziej rozśmiesza. I to, że zawsze była sprytna, a ten spryt zaprowadził ją do tego miejsca, w którym znajduje się obecnie. Ten spryt dalej jej towarzyszy i oby jej nie opuszczał!

Wszystkie obrazy traktuję jak swoje dzieci

ROZMOWA Z ANNA JANKOWSKĄ, KOLEKCJONERKĄ DZIEŁ Z KWIATAMI

– *Czy w Twoim domu rodzinnym wisiły jakieś obrazy?*

– Głównie religijne, ale nie tylko. Utkwił mi w pamięci namalowany w 1943 roku obraz kwiatów, który niestety pewnego dnia został bezpowrotnie zdjęty ze ściany. Jak się okazało autor płótna był spokrewniony z pierwszym narzeczonym mamy. Tato nie zdzierzył i zawiesił w to miejsce portret ślubny rodziców. Ale ja tę pracę mam do dziś.

– *Czy to wtedy narodziło się zainteresowanie malarstwem?*

– Może? Na obrazy patrzę oczami mojego taty, który wpadał w zachwyt, gdy widział ciekawe sceny rodzajowe, historyczne i portrety. Abstrakcję omijał wielkim łukiem. Był prostym człowiekiem, urodził się na wsi. Potem został kolejarzem i zawód pozwolił mu na podróżowanie. Wymyślał więc takie trasy, dzięki którym mogliśmy zwiedzać ciekawe miasta, a w nich przede wszystkim muzea, kościoły i cmentarze.

– *Pierwszy świadomy zakup w Twojej kolekcji to?*

– Praca Adama Bagińskiego, którą nabyłam w 1998 roku. Pracowałam wówczas w bibliotece Norwida i dyrektor Jesse namawiała nas, by pomagać artyście, kupując jego prace. Znając nieprzedstawiającą twórczość malarza, ośmieliłam się powiedzieć: Panie Adamie, moim marzeniem byłoby, aby namalował Pan dla mnie jakieś kwiaty. Artysta początkowo odmówił. Pomyślałam, trudno. Po pewnym czasie jednak pojawił się z pracą przedstawiającą gałązkę magnolii. Myślałam, że uklękę przed nim.

– *Twoja kolekcja ma określoną tematykę: kwiaty. Dlaczego?*

– Nie wiem. Być może wzięło się to z pewnej wizyty w muzeum, gdy ojciec stanął przed jednym z obrazów i powiedział: „A ciekawe, czy on namalowałby kwiaty?”. Pomyślałam wówczas, że wbrew pozorom nie jest to łatwy temat. Niektórzy twórcy zgadzają się od

razu, innych trzeba namawiać, i to długo. Często po moim zapytaniu o możliwość namalowania kwiatów, słyszę taką odpowiedź: „Kwiaty? Ależ to zupełnie nie w mojej konwencji!”. Wówczas wycofuję się i nie nalegam. Po pewnym czasie, niekiedy nawet po latach, artyści mnie odnajdują i umawiają się na spotkanie. Zamawiając pracę, mówię: Technika i kwiaty, jaką pan/pani lubi – dowolne, a jeżeli idzie o pieniądze – ostatnie słowo należy zawsze do artysty. Tylko dwa razy cena mnie zaskoczyła, ale zdarzali się też tacy, którzy nie wzięli ode mnie ani grosza lub kwotę symboliczną. Zawsze starałam się wówczas w inny sposób spłacić swój dług.

– *Na kilku obrazach te kwiaty są, powiedzmy, dyskusyjne.*

– Ale mi to w zasadzie odpowiada. Na przykład Józef Burlewicz namalował zamiast kwiatów, drzewo na łące. Miałam z tym pewien kłopot. Pojechałam na wieś, gdzie mieszka i złapałam go, gdy wracał z kościoła. Poprosiłam o wpisanie tytułu na pracy „Łąka w Gryźynie”. Wpisał. Z obrazów zupełnie nie wpisujących się w kwiatną tematykę mam między innymi prace Abakanowicz, Siódmaka, Gordona, ale te eksponowane są osobno.

– *Czy prowadzisz ewidencję zakupionych prac?*

– Nie tylko zakupionych. Mam kilka segregatorów, w których składam notki o malarzach. Są tam informatory z wystaw, wycinki z gazet, fotografie prac i listy. Gdy kupuję obraz, proszę artystów o to, by pozwolili mi zrobić swoje zdjęcie z tą właśnie pracą.

– *Jak poznajesz artystów i czy się z nimi zaprzyjaźniasz?*

– Na wernisażach i przede wszystkim przez znajomych. Niekiedy relacje te są dłuższe, niekiedy krótsze. Bywa, że niektórzy już mnie kojarzą jako tę nawiedzoną od kwiatów. Kłaniam im się zawsze pierwsza. Chodzę na wernisaże,

chodzę też na ich pogrzeby i żegnam tych, których miałam szczęście znać osobiście, i tych, których tylko prace podziwiałam.

– *Czy udało Ci się namówić artystów młodszego pokolenia na stworzenie takiej pracy?*

– Między innymi Basię Bańdę, Magdalenę Gryskę, Wacława Serdecznego. Z tym ostatnim była ciekawa historia. Prosiłam go, aby namalował mi kwiaty serdeczne, i długo czekałam. Wreszcie zadzwonił, że mogę odebrać zamówienie. Wchodzę i uderza mnie ostra barwa i syntetyczny kształt. Artysta pyta: „No i co?” Oczywiście, że piękny. Ale z kwiatkami co to ma wspólnego? Na to on: „To jest Hortus conclusus”. W domu rozszyfrowałam sprawę i jestem wdzięczna. Nie tylko za pracę, ale również za kontekst. Nie zdarzyło mi się, abym jakiejś pracy nie odebrała. Artysta maluje kwiaty, tak jak je widzi, a ja jestem szczęśliwa, że dzieli się ze mną swoim talentem.

– *Z urodzenia jesteś Wielkopolanką, a tymczasem w kolekcji przede wszystkim prace malarzy zielonogórskich.*

– Mieszkam tu od dekad i pokochałam to miasto. Wybieram więc artystów zielonogórskich albo takich, którzy odcisnęli piętno na życiu artystycznym miasta jak: Antoni Górnik, Helena Zadrejko, Tadeusz Jackowski, Andrzej Strumiłło. Dziś marzy mi się zamówienie obrazu u Jacka Dłużewskiego. Wiem, że namalował kiedyś kwiaty dla swojej mamy. Może się zgodzi? Mam też marzenia, których już nie zrealizuję. Zawsze chciałam mieć pracę Jolanty Zdrzalik. Nie zdążyłam.

– *Twoja kolekcja obejmuje prace twórców profesjonalnych. Można w niej znaleźć kilka obrazów amatorów.*

– Nie zamawiam ich, ale jak mnie coś zauroczy, to kupuję. Mam także cztery obrazy byłych stypendystów Kiwanisu. To taki mój osobisty wkład w dzieło pomocy młodym ludziom.

– *Czy jest jakaś praca, którą lubisz bardziej?*

– Wszystkie obrazy traktuję jak swoje dzieci. Z każdym z nich wiąże się jakaś historia i emocje. Gdy Irena Bierwiczonek przekazywała mi swoje płótno, powiedziała: „Pani Aniu, ta mucha na storczyku jest specjalnie dla Pani”.



fot. Archiwum bohaterki

– *Jak mąż postrzega Twoją pasję?*

– Jankowski [tak Ania mówi o swoim mężu] czasami był postawiony przed faktem dokonanym, nie wiem, czy mu się to na początku podobało. Z biegiem czasu zaakceptował, ale entuzjazmu w tym nie było. To taka milcząca akceptacja. Choć muszę przyznać, że bez jego wsparcia finansowego byłoby mi trudno przeznaczać pieniądze na zakup obrazów.

– *Znam kolekcjonerów, którzy po latach zmienili przedmiot swojej kolekcji. Czy byłabyś w stanie to zrobić, na przykład przestawić się na porcelanę?*

– Nie. Bywało, że rozstawiałam się z niektórymi płótnami, gdy artysta przygotował mi dwie propozycje do wyboru. Kupowałam obie, a jedną z nich przeznaczałam na prezenty lub licytacje dobroczynne.

– *Ile prac liczy teraz Twoja kolekcja?*

– Jestem skarbniczką w Kiwanisie, ale w tej sprawie nigdy do końca nie wiem. Ich liczba chyba dobiega setki.

– *Czy wszystkie są wyeksponowane w domu?*

– Tak, ale dlatego, że zamawiam małe formaty. Teraz zesłałam już do rozmiaru 30 x 40 cm. Układ ekspozycji zmieniam

wraz z malowaniem ścian, bo jednak mój zbiór cały czas się powiększa.

– *Uczestniczysz jako gość w plenerach malarskich w Przytoku?*

– To jest szczególne miejsce. Przed laty Krystyna Betiuk postanowiła zrobić coś dla grona malarzy, którzy nigdy się nie przebijają, bo są zajęci pracą dydaktyczną. Zorganizowała plener dla tych, jak mówi, niedocenionych, czyli nauczycieli plastyki w szkołach podstawowych i średnich. Na jednym z nich spotkałam kiedyś panią z liceum, która uczyła mnie rysunków. Zawsze na zakończenie pleneru funduję ogromny tort z wizerunkiem Krystyny.

– *Co oprócz malarstwa masz inne pasje?*

– Muzyka. To też odziedziczyłam po rodzicach, którzy kochali muzykę w każdym wydaniu. Czy była to opera czy muzyka ludowa w wykonaniu kapeli Dzierżanowskiego. Często pakowali wizytowe buciki w siatkę i jechali z Nądni pociągami na operetkę do Poznania, Warszawy, Wrocławia. Od października 1970 roku uczęszczam systematycznie na koncerty do Filharmonii Zielonogórskiej, gdzie mam wykupiony fotel.

– *Dziękuję.*

Alicja Błażyńska

Prezes stowarzyszenia nieposzlakowanych Polaków

Kazimierz Lisowski, założyciel Towarzystwa Rzemieślników Polskich w Zielonej Górze, urodził się w Piotrowie, powiat śremski. W rodzinnych stronach wyuczył się zawodu blacharskiego.

W 1890 roku jako mistrz przyjechał do Zielonej Góry, gdzie został zatrudniony w fabryce wagonów Georga Beuchelta. Nie popracował tam długo, ponieważ około 1892 r. otworzył własny warsztat przy obecnej ul. Henryka Sienkiewicza.

27 sierpnia 1898 r. utworzył Towarzystwo Rzemieślników Polskich, do którego w chwili powstania należało ok. 60 osób, a Lisowski aż do swojej śmierci był jego prezesem. Przez wszystkie lata pracy był najważniejszą osobą skupiającą wokół siebie przybyłych do Zielonej Góry Polaków. Inicjował spotkania, zrzeszał społeczność polską, sprawował pieczę nad jej działalnością, organizował i ułatwiał początkowy start Polakom przybywającym do miasta za pracą. Praca i działalność w TRP skupiała się wyłącznie na sprawach i życiu Polaków: Członkowie gromadzili się na zebraniach, omawiali problemy związane z działalnością związku, przyjmowali nowych członków, rozmawiali w języku polskim, śpiewali pieśni, czcili polskie rocznice, organizowali spotkania poza siedzibą towarzystwa: uroczystości, zabawy, wieczornice, wycieczki, abonowali i czytali polskie czasopisma i literaturę. Wycieczki i spacerzy zazwyczaj organizowano po Zielonej Górze lub okolicach w dni świąteczne i wolne od pracy. Miejsca pieszych wędrówek pojawiających się w księgach protokołowych TRP, zachowanych w zbiorach działu historycznego Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, związane z miastem to między innymi Augusthöhe, Meisberg, młyn półmilowy, Wzgórze Piastów. Spotkania determinowała pogoda, więc zazwyczaj odbywały się w miesiącach wiosenno-letnich. „Towarzystwo Rzemieślników Polskich w Zielonej Górze to grupa ludzi ożywiona szczerym uczuciem przywiązania do ojczystego języka i religii wyniesionym z rodzinnych domów, pielęgnująca tradycje polskie prawie wyłącznie we własnym gronie. Nie była to grupa nieustraszonych bojowników przygotowujących przewrót państwowy drogą zamachów. Jako ludzie na ogół biedni, skazani na codzienną pracę w przedsiębiorstwach przeważnie prywatnych, odczuwali dotkliwie swoje ekonomiczne upośledzenie i wynikającą stąd zależność. Nie było ani miejsca, ani możliwości na bohaterские zrywy. Codzienna wegetacja była zbyt ciężka, władza

zbyt silna, aby mogła zrodzić się nawet myśl o otwartym buncie” – twierdził historyk Władysław Korcz.

K. Lisowski opracował ustawy towarzystwa, które w 1898 r. zostały wydane drukiem w Poznaniu. Zgodnie z ustawą, która przewidywała, że „członkiem towarzystwa może zostać każdy nieposzlakowany Polak”, skupiało nie tylko rzemieślników. Będąc prezesem, osobiście zajmował się kolportażem prasy polskiej, którą sprowadzano z Poznania i prowadził polską bibliotekę. Był inicjatorem wystawiania sztuk polskich, organizowania akademii z okazji świąt narodowych, odczytów o tematyce historycznej wygłaszanych przez poznańskich uczonych, rocznicowych spotkań oraz kursów języka polskiego.

Do towarzystwa przyjmowano tylko mężczyzn. Zdarzało się, że po osiągnięciu odpowiedniego wieku synowie również stawali się członkami TRP, na przykład K. Lisowski i jego syn Edmund; Antoni Putz z Franciszkiem, Sewerynem i Władysławem czy Antoni Drozd i Walenty. Mimo iż w zebraniach uczestniczyli tylko mężczyźni, nie oznaczało to, że kobiety nie miały tam wstępu.

W obu księgach protokołowych występują nazwiska 93 członków TRP. Jedną część to członkowie. Druga to nazwiska rzemieślników pojawiające się przy różnych okazjach, a z tekstu wynika, że byli oni już członkami organizacji. Prawdopodobnie w różnych okresach działalności liczba członków towarzystwa była różnaita. Przyjmując kogoś do TRP, starano się o tym wspomnieć w protokołach, natomiast o rezygnacji z członkostwa informowano rzadko.

2 stycznia 1923 r. powstał w Zielonej Górze oddział Związku Polaków w Niemczech, a Lisowski został jego wiceprezesem. Z inicjatywy Walentego Kliksa, członka towarzystwa, i K. Lisowskiego zielonogórski oddział utrzymywał kontakty z I Dzielnicą Związku Polaków w Niemczech we Wrocławiu. W 1932 r. obydwaj panowie próbowali założyć w Zielonej Górze szkołę polską, ale władze niemieckie nie wyraziły na to zgody, mimo sprowadzenia z Wielkopolski polskiego nauczyciela. Kiedy Hitler doszedł do władzy, wobec Lisowskiego rozpoczęły się represje władz policyjnych. Wzmogły się one, kiedy zaczął występować przeciw dekorowaniu domów z okazji świąt nazistowskich.

K. Lisowski ożenił się z Niemką Bertą Kube, z którą miał córki Helenę i Antoninę oraz syna Edmunda. Zmarł 25 września 1935 r. w siedzibie zielonogórskiego gestapo w czasie przesłuchania.



Kazimierz Lisowski (1863-1935)

fol. Archiwum MZL

Ryszard Zaradny

Humanista który był rektorem i wojewodą

Marian Eckert znalazł się wśród tych czterech pracowników naukowych zielonogórskich uczelni, którzy w 1978 roku jako pierwsi otrzymali stopień profesora tzw. belwederskiego, czyli nadzwyczajnego.

W życiu społeczności są osoby mające wyjątkowe znaczenie dla kształtowania ich postaw, zachowań i tożsamości. Taką postacią w zielonogórskim środowisku naukowym był niewątpliwie profesor doktor habilitowany Marian Eckert. Pierwszą myślą, jaka nasuwa się na wspomnienie o nim – to humanista. Taka postawa dominowała w każdej sferze aktywności. Jego cechy osobowości kształtowane były już – jak się wdaje – w rodzinie.

Ród Eckertów przybył na ziemię polskie z Łużyc w XVIII wieku i już w latach osiemdziesiątych protoplasta rodziny Józef Eckert, porucznik wojsk polskich w korpusie inżynierskim, specjalista od robót fortyfikacyjnych za zasługi wojenne i umacnianie obronności Warszawy otrzymał szlachectwo na sejmie czteroletnim oraz został przyjęty do herbu Nałęcz.

Syn profesora Wojciech Eckert powiedział w audycji Konrada Stanglewicza: „W naszej rodzinie od kilkuset lat jesteśmy związani z medycyną (lekarze, aptekarze), z muzyką albo z nauczycielstwem”. Korzenie rodziny Eckertów wywodzą się z kultury europejskiej, w której kondycja człowieczeństwa była istotną wartością. Osiedlili się w miejscu, gdzie wpływy tego klimatu kulturowego były dominujące i kształtowały osobowość.

M. Eckert urodził się 11 marca 1932 r. w Bydgoszczy, a krótko przed drugą wojną światową rodzina Eckertów przeniósła się do Poznania. Okres wojny był dla nich, jak dla większości Polaków, bardzo trudny. Naznaczony został bowiem przesiedleniem do Generalnego Gubernatorstwa i utratą ojca. Przyszły profesor uczęszczał na tajne komplety w Krakowie. Po zakończeniu wojny rodzina wróciła do Wielkopolski, osiedlając się w niespełna ośmiotysięcznym Gostyniu, gdzie uczęszczał do gimnazjum i zdał maturę. W trudnych powojennych warunkach wojennych w procesie wychowawczym duży nacisk kładziono na różne formy aktywności społecznej. Z tego czasu wywodzi się fascynacja profesora sportem. Wspominał: „To sport nauczył mnie koleżeństwa i hartu. Harcerstwo dało mi odporność na trud, niewygodę – dało świadomość, czym jest lojalność i przyjaźń, odpowiedzialność, obowiązek”.

Edukacja na poziomie wyższym, którą podjął w 1950 roku na wydziale filozoficzno-historycznym Uniwersytetu



Marian Eckert (1932-2015)

fol. Archiwum UZ

Poznańskiego (od 31 grudnia 1955 r. Uniwersytet im. Adama Mickiewicza) została przerwana w 1953 r. Został bowiem posądzony o „krytyczny stosunek do rzeczywistości i ZSRR”, co – jak się wydaje – wynikało z jego humanizmu, a w okresie stalinowskim skutkowało skreśleniem z listy słuchaczy studiów. Konsekwencją było też skierowanie do pracy w Rzepinie jako nauczyciela w szkole podstawowej i liceum ogólnokształcącym. Wykazał się tam nadzwyczajną aktywnością, uczył bowiem historii, propedeutyki filozofii, logiki, języka francuskiego i wychowania fizycznego, a także w ramach zajęć pozadydaktycznych był instruktorem harcerskim, prowadził klub sportowy, orkiestrę i teatr szkolny. Pracował w Powiatowym Ośrodku Doskonalenia Kadr Oświatowych,

a następnie w Wojewódzkim Ośrodku Metodycznym w Zielonej Górze.

W tym czasie, po wydarzeniach października 1956 r., podjął ponownie studia na Uniwersytecie Adama Mickiewicza i w trybie eksternistycznym uzyskał dyplom magistra, a w 1965 r. stopień doktora na podstawie napisanej pod kierunkiem prof. Czesława Łuczaka rozprawy „Przemysł drzewny Polski Zachodniej w latach 1918-1939”. Na tej Alma Mater w 1973 r. uzyskał stopień doktora habilitowanego na podstawie rozprawy „Przemysł rolno-spożywczy w Polsce w latach 1918-1939”. Karierę naukową wieńczy mianowanie w 1978 r. na profesora nadzwyczajnego, a w 1988 na profesora zwyczajnego.

Dorobek naukowy prof. Eckerta obejmuje ponad 200 pozycji, w tym 15 książek. Jego główne zainteresowania naukowe koncentrowały się wokół historii gospodarczej, roli czynnika ludzkiego w postępie naukowo-technicznym, historii politycznej Polski i stosunków polsko-niemieckich na pograniczu. W 1983 r. ukazała się jego „Historia polityczna Polski Odrodzonej”, która do 1990 r. ukazała się w pięciu wydaniach, osiągając nakład pół miliona egzemplarzy.

Od 1967 r. M. Eckert związał swoje życie z Zieloną Górą, podejmując pracę w Wyższej Szkole Inżynierskiej. Po utworzeniu Wyższej Szkoły Pedagogicznej także tutaj prowadził zajęcia dydaktyczne na kierunku historia. Ze względów formalnych odnotować należy funkcje pełnione w uczelni: do

1995 r. kierował Instytutem Organizacji Zarządzania oraz Instytutem Nauk Społecznych i Ekonomicznych, dwukrotnie w latach 1972-1975 i 1978-1981 był prorektorem ds. wychowania, a w latach 1987-1990 rektorem. Po utworzeniu z połączenia WSP i Politechniki Zielonogórskiej w 2001 r. Uniwersytetu Zielonogórskiego pracował na jego wydziale humanistycznym, w Instytucie Historii. Aktywność przejawiał także na szerszym forum: w latach 1993-1997 zajmował stanowisko wojewody zielonogórskiego, a od 1998 do 2006 r. z ramienia Sojuszu Lewicy Demokratycznej był radnym sejmiku lubuskiego I i II kadencji. Przyświecała mu zasada prymatu dobra publicznego nad interesem prywatnym. Za swoją działalność został odznaczony między innymi w 1997 r. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, a w 2010 otrzymał tytuł honorowego obywatela Zielonej Góry.

Tym czym ujmował prof. Eckert, była nie tylko erudycja, ale także przyjacielski stosunek do studentów. Posiadał cechy osobowościowe budujące bliskie relacje, zachowując jednocześnie niepodważalny autorytet. Często chodził ze studentami na rajdy górskie i brał udział w studenckich imprezach kulturalnych, lecz nie jako zwierzchnik, a zwykły uczestnik (bywało, że akompaniował na fortepianie studentom przy ich wokalnych popisach). Toteż studenci wybrali go na najlepszego dydaktyka i wychowawcę w środowisku zielonogórskim. Jako wyróżniający się nauczyciel akademicki w Polsce otrzymał Medal im. Grzegorza Piramowicza.

Prof. Eckert był autorem koncepcji humanizacji studiów technicznych, wychowania przez kulturę oraz partnerskiego udziału studentów w życiu uczelni. Dążył do tego, aby przyszli inżynierowie zapoznawali się z teoriami z zakresu filozofii, socjologii, psychologii i historii gospodarczej, aby nie byli tylko technokratami, ale także nieobcy im był świat wartości i kultura ogólna, co mogłoby wpływać na umiejętne budowanie relacji z pracownikami.

Należy też wspomnieć o pasji profesora, jaką były podróże. Odbył ich wiele po Europie (szczególnie po Francji) oraz po Afryce Zachodniej i Równikowej, Karaibach, Syberii i Ameryce Północnej.

Na zakończenie odwołam się ponownie do audycji red. Stanglewicz. Odniósł się do ostatniej książki M. Eckerta z 2010 r. zatytułowanej przewrotnie „Z pamiętnika psa Cypisa oraz Traktat o wartościach kota Ancymona”. Na pozór są to tylko rodzinne historie spisane dla najbliższych z perspektywy domowników – psa i kota. „Może liczymy na to, że

ta bajeczka z otchłani wieków rozbawi kiedyś nieznaną nam jeszcze, a już kochane prawniki!”. Zgodnie z zasadą, że „o ile w młodości szukamy wierzchołków, to na starość korzeni”. W rzeczywistości w tych zapiskach – jak w kropli wody – odbija się obraz dziejów polskiej inteligencji z przełomu wieków i ustrojów.



19 października 2022 r. przed gmachem Muzeum Ziemi Lubuskiej odsłonięto tablicę poświęconą Marianowi Eckertowi. Od 27 października 2015 r. profesor jest patronem ronda w ciągu Trasy Północnej w Zielonej Górze.

Alicja Błażyńska

Ul. Lubuska 2

W ostatnich miesiącach zabity żywiej serca zielonogórczan na wieść, że Wieża Braniborska zostanie po latach ponownie udostępniona zwiedzającym. Przypomnijmy historię tego ciekawego obiektu, który powstał przed 163 laty na Młyńskim Wzgórzu.



Wieża Braniborska około 1860 r.

Dlaczego w dziewiętnastowiecznym mieście, średniej wielkości pojawiła się idea na zbudowanie wieży astronomicznej, tego dokładnie nie wiemy. Być może jego pomysł zainspirowany został niezwykłym wydarzeniem, który wstrząsnął mieszkańcami Grünbergu i okolic w 1841 roku. W okolicach Wilkanowa spadł wówczas na Ziemię nieduży meteor. Odgłos upadku był tak donośny, że słyszeli go ponoć mieszkańcy Nowej Soli, Żar i Sulechowa.

Niemal dwie dekady później Friedrich Förster, wpływo- wy przemysłowiec i winiarz – przedstawiciel rodziny, o której mawiano, że decydowała praktycznie o wszystkich dziedzinach życia w Grünbergu – wystąpił z propozycją zbudowania w rodzinnym mieście wieży umożliwiającej mieszkańcom podziwianie panoramy miasta oraz obserwację nieba. Pomysł spodobał się powstałemu w 1834 r. Stowarzyszeniu Rzemiosła i Ogrodów (Gewerbe und Gartenbau Verein), skupiającym najbardziej wpływowych obywateli miasta. Stowarzyszenie zadeklarowało pokrycie kosztów budowy obiektu. Postanowiono, że budowla stanie na tak zwanym Młyńskim Wzgórzu, oddalonym od ówczesnych granic miasta o około 3 kilometry na południowy wschód, będącym zarazem najwyższym punktem topograficznym wokół Zielonej Góry.

Stowarzyszenie wykupiło grunt od rodziny Heinecków, wykonanie projektu zleciło powiatowemu architektowi dr. Gersdorfovi, a prace murarskie mistrzowi Willmannowi. Ogłoszono też konkurs na nową nazwę wzniesienia. Wśród wielu propozycji zwyciężyła Grünbergerhoche (Wzgórze Zielonogórskie). Ostatecznie koszt budowy i zakupu lunety z teleskopem wyniósł 3401 talarów.

Uroczyste otwarcie Kuelenrondel, czyli Rondla z Maczuga, bo tak grünberczycy od początku nazwali swoją nową wieżę, nastąpiło 19 sierpnia 1860 r. Od początku obiekt pełnił

podwójną funkcję – restauracyjną oraz widokową. Prowadzenie restauracji – dolna kondygnacja i pawilon na parterze – powierzono restauratorowi i browarnikowi zielonogórskiemu Augustowi Pollowi. Do obserwowania miasta przez lunetę przeznaczono odsłonięty taras na szczycie wieży. Szczególną atrakcją były pokazy firmamentu nad Zieloną Górą. Od 1887 r. do wybuchu pierwszej wojny światowej organizowano je raz w tygodniu, oczywiście o ile aura na to pozwalała. W latach 20. i 30. XX wieku budowla wróciła do swojej pierwotnej funkcji i kontynuowała tradycje restauracyjne. W okresie drugiej wojny światowej wieża stała się punktem obserwacyjnym obrony przeciwlotniczej.

Po zakończeniu działań wojennych i nowym podziale Europy ludność niemiecka została wysiedlona z Zielonej Góry, a do miasta napłynęli Polacy z różnych stron. Osiedlanie w nowym miejscu, łączenie rodzin, tworzenie zrębów państwowości polskiej, osvajanie obcego miejsca i języka – zajmowało życie mieszkańców Zielonej Góry. Wieża położona na skraju miasta początkowo nie budziła większego zainteresowania. Dopiero w połowie lat 50. uruchomiono w niej działalność gastronomiczną. Jej rozkwit nastąpił w latach 60. W przyległej do wieży muszli koncertowej grały zespoły i odbywały się wieczorki taneczne, a ludzie siedzieli na przedwojennych krzesłach, z metalowymi oparciami i drewnianymi siedziskami. Na potrzeby kawiarni zabudowano i przeszklono taras. Pamiętający tamte czasy zielonogórzanie wspominają na facebookowych forach podawane tam znakomicie przyrządzone potrawy: rosół z kołdunami, gulasz węgierski i jakieś mityczne lody. Można było także wspinać się na szczyt obiektu i oglądać niezniszczone przez działania wojenne miasto. Niestety z czasem popularność tego miejsca zaczęła spadać, w centrum powstawały nowe lokale z dobrym

jedzeniem, nowoczesnym wystrojem i takimi atrakcjami, jak striptiz. W restauracji na wzgórzu doszło ponoć do tragicznej śmierci, w konsekwencji czego zamknięto ją. Po czasie pomieszczenia w budowli na wzgórzu zajęło Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierownictwa. Wtedy też w pobliżu obiektu zaczęto wznosić dziesięciopiętrowe wieżowce. Dziś to one dominują nad wzgórzem, odbierając urokliwej wieży prymat pierwszeństwa.

Pod koniec lat 80. przeprowadzono gruntowną restaurację budowli, po której przekazano ją Zielonogórskiemu Centrum Astronomii przy Wyższej Szkole Pedagogicznej (obecnie Uniwersytet Zielonogórski). Wiązało się to niestety z ograniczeniem dostępności dla zwiedzających. W 2005 r. budowlę poddano kolejnym zmianom – przebudowano szczyt wieży, zwieńczając ją obrotową kopułą, pod którą umieszczono teleskop służący studentom i naukowcom do obserwacji nieba.

W drugiej dekadzie XXI wieku o zachowanie drzewostanu wokół wieży upomniało się społeczeństwo Zielonej Góry. W 2015 r. prywatny przedsiębiorca kupił od Uniwersytetu Zielonogórskiego atrakcyjną działkę sąsiadującą z obiektem. Uzyskał zgodę na wycinkę drzew i pojawiły się plany postawienia tam budynków wielokondygnacyjnych. Ta decyzja oburzyła mieszkańców i aktywistów miejskich. Po protestach odstąpiono od projektu. W 2017 r. na wniosek Zielonogórskiego Towarzystwa Upiększania Miasta wpisano wieżę do rejestru zabytków województwa lubuskiego.

W roku jubileuszu 800-lecia Winnego Grodu nastąpił kolejny zwrot w sprawie zabytku. Obecny właściciel – Uniwersytet Zielonogórski – przekazał go w użytkowanie miastu. Po drobnych pracach adaptacyjnych prezydent chce udostępnić Wieżę Braniborską mieszkańcom.

Czekamy na to z niecierpliwością.



Wieża Braniborska, widok współczesny

fot. Agnieszka Konieczna

Jarosław Barańczak

Tu czuję się jak w swoim domu

Moje wrastanie w Zieloną Górę bez żadnej wątpliwości wiąże się z ludźmi, których tu spotykałem. Pewnie też z miejscami, które były świadkami wydarzeń kształtujących mój status bycia stąd.

Urodziłem się w Wałbrzychu. Studiowałem we Wrocławiu na Wydziale Budownictwa tamtejszej politechniki. Po studiach zostałem skierowany, jak tego wtedy wymagało prawo, do odbycia służby wojskowej w Szkole Oficerów Rezerwy. Jako magister inżynier budownictwa lądowego wylądowałem na szkoleniu w Poznaniu, w Oficerskiej Szkole Wojsk Kwatermistrzowskich, a stamtąd w jednostce wojskowej w Czerwieńsku. Jednostka była wtedy w przebudowie i rozbudowie, miejsc do mieszkania nie było za dużo, pozwolono nam zatem na wynajmowanie kwater w Zielonej Górze. Zamieszkałem w pokoju w domku przy ulicy Grunwaldzkiej na osiedlu Słowackiego. Był rok 1975. Ani mi w głowie nie powstało, że po latach w podziemiach nieistniejącego wówczas kościoła Podwyższenia Krzyża Świętego, który stanął prawie naprzeciw mojego ówczesnego okna, na spotkaniach Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” powołany zostanie na kandydata do sejmu w wyborach czerwcowych w 1989 roku.

Po wojsku w Zielonej Górze zostałem.

Zacząłem pracę w Biurze Projektów „Miastoprojekt”. Powoli poznawałem miasto i ludzi. I ze zdziwieniem, ale i z przyjemnością odkrywałem, że istnieje tu i teatr, i filharmonia, i żywe środowisko plastyków. Pamiętam zachwyt, z jakim po raz pierwszy oglądałem w Muzeum Ziemi Lubuskiej obrazy Józefa Burlewicza. Puste krajobrazy z fragmentami rozsypujących się symboli cywilizacji czy uwięzany ptak pod rozległym, a przecież niedosiężnym niebem. Dzięki zaprzyjaźnionemu z Burlewiczem koledze, odwiedziłem jego pracownię na poddaszu budynku przy ulicy Wyspiańskiego. Po wypiciu stosownej dawki trunków różnych i omówieniu spraw dręczących, wyszedłem stamtąd jako posiadacz dużej, pięknie oprawionej pasteli oddającej klimat narastających wtedy frustracji i niepokojów ludzi nie tylko młodych. Obraz jeździ ze mną i ozdabia kolejne miejsca mojego zamieszkania. Całkiem niedawno miałem okazję odwiedzić Burlewicza w Gryżynie. Nie bez wzruszenia.

W Miastoprojekcie poznałem też, nieżyjącego już, Aleksandra Polańskiego. Był wtedy młodym, nieważnym pracownikiem administracyjnym. Zaocznie studiował budownictwo. Z nim, i nie tylko, wyprawialiśmy się na okoliczne jeziora, żeby pływać na żaglówkach, co było jego pasją. Olek był ojcem chrzestnym jednego z moich synów. Wiele lat później, już jako biznesmen, założył w Zielonej Górze pierwszą niezależną gazetę. „Gazeta Nowa” niestety nie przetrwała burzliwych lat zmiany ustroju, ale stała się ważnym świadkiem tego czasu. Od pewnego momentu kierował nią Andrzej Buck, którego poznałem dużo wcześniej na jakimś kinderbalu zorganizowanym dla małych wtedy naszych dzieci w ogrodzie państwa Nowickich. Był pewnie wtedy szefem pracującej w bibliotece Wyższej Szkoły Pedagogicznej córki Witolda

Nowickiego (z przyjemnością patrzę na wiszący u mnie obraz pana Witolda inspirowany poezją Rilkego), a naszej koleżanki. Ona popełniła kilka wierszy, ja także. Ją wydrukowano w ówczesnym zielonogórskim piśmie społeczno-kulturalnym „Nadodrze”.

Pomyślałem, że też powinienem spróbować. Udało mi się przekazać kilka próbek Januszowi Koniuszowi, uznanemu w mieście i nie tylko, poecie. O dziwo, stwierdził, że nadają się do druku. Pierwszy utwór ukazał się w dziale „Wiersze lubuskich młodych” w początku 1979 roku. Był odbiciem mego ówczesnego nastroju – alienacji i beznadziei. Do dziś ze zdziwieniem myślę, że zamieszczono go mimo takiej właśnie wymowy. Państwa Koniuszów mieliśmy zresztą przyjemność gościć u nas w domu. Moja wówczas świeżo poślubiona żona uznała, że tak znacznych gości podjąć należy czymś szczególnym. Stanęło na mózdzku podawanym w przeznaczonych do tego celu babcinych dużych muszlach. Bo i przepis był babciny... Kiedy całkiem już niedawno w sali im. Janusza Koniusza w zielonogórskiej bibliotece wręczano mi Lubuski Wawrzyn Literacki za wydaną w 2021 roku książeczkę z wierszami „Znak”, Janusz Koniusz jak żywy stanął mi przed oczami. Mam nadzieję, że ten moment także dla niego był potwierdzeniem intuicji sprzed wielu przecież lat, i że tamten mózdzek, popijany na szczęście winem, nie był dla niego zbyt traumatycznym przeżyciem. Tomik wydało wydawnictwo Pro Libris. Jej szefem jest Andrzej Buck. I jak tu nie wierzyć, że świat jest mały...

Jeśli idzie o środowisko dziennikarskie, to niewątpliwie cenilem sobie bardzo znajomość ze świętej już pamięci Edwardem Mincerem. Radiowicz, w międzyczasie także pierwszy szef „Gazety Nowej”, człowiek dzielnego ducha, czasem zbyt nawet upartego. Wybitny przedstawiciel zielonogórskich solidarnościowych środowisk opozycyjnych. Edward, już jako wiceprezydent Zielonej Góry, prowadził batalię na rzecz przystosowania pomnika z placu Bohaterów do potrzeb nowych czasów. Osiągnął, jak myślę, sukces połowiczny. Z pomnika skuto symbole uzależnienia PRL od Związku Radzieckiego, ale czy to wystarczyło? Nie jestem pewien. Pamiętam też, jak po kilku latach mojego pobytu na placówce dyplomatycznej w Turcji, na jego zaproszenie opowiadałem w radiu o tym kraju. Jakże często zupełnie nieznanym turystom spędzającym tam wakacje.

W Miastoprojekcie spotkałem też państwa Jarnickich. Mirę i Władysława. Uroczą parę starszych ode mnie architektów. Dużo podróżowali, także po świecie. Wyjechali później do Afryki, gdzie mieszkali przez wiele lat. Z ich udziałem urodziło się biurowe piśmiśko, któremu nadaliśmy tytuł „Filarek”. Z przymrużeniem oka i półuśmiechem myślę, że było się też dziennikarzem... Państwo Jarniccy mieli psa beagle'a. Dramatyczną historię jego odchodzenia przeżywalismy wspólnie. Połknął kasztan, który utknął w jego jelitach i zanim fakt ten



fol. Archiwum autora

Jarosław Barańczak – rocznik 1951, doktor nauk technicznych i magister filologii polskiej, poseł na Sejm (1989-1991), senator (1991-1993), wojewoda zielonogórski (1990-1993), wiceminister gospodarki, dyplomata w Turcji. Jest laureatem Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za tomik poetycki „Znak”. Mieszka we Wrocławiu.

został zidentyfikowany, biedne zwierzę było już tak osłabione, że nie udało się go uratować.

Praca w biurze projektów nie stała się moim najulubieńszym zajęciem. Zdominowana była tworzeniem typowych, powtarzalnych budynków mieszkalnych w powszechnej wtedy technologii wielkopłytowej. Więcej z tego nudę postanowiłem przełamać powrotem do moich upodobań humanistycznych.

I tak to zaczęła się przygoda z filologią polską,

którą zacząłem studiować w ówczesnej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Z równoczesnym prawie początkiem pracy na etacie asystenta w Wyższej Szkole Inżynierskiej. Z moimi studentami mówiliśmy o konstrukcjach przemysłowych i skomplikowanych sposobach obliczania ich nośności przy istotnych obciążeniach dynamicznych, z kolei ja sam jako student rozważałem z moimi wykładowcami meandry gramatyki historycznej i znaczenie kolejnych epok literackich. Miałem niewątpliwą przyjemność spotkać wtedy doktor Annę Świrek, późniejszą profesor na uniwersytecie w Kielcach, specjalistkę w dziedzinie literatury współczesnej. To z nią wtedy, w czasie istnienia cenzorskich list proskrypcyjnych, rozmawiałem o wileńskiej grupie poetyckiej Żagary i jej wybitnym przedstawicielu Czesławie Miłoszu. Przyznana poecie niewiele później Nagroda Nobla nie była dla mnie żadnym zaskoczeniem. Mój podziw dla jego twórczości, wzmocniony przez niezłomną panią doktor, zawiódł mnie po latach do Kalifornii, do Berkeley, gdzie na uniwersytecie Miłosz pracował i gdzie miał prawo do specjalnego miejsca na uniwersyteckim parkingu. Tak zresztą jak wszyscy tamtejsi laureaci noblowskiej nagrody. Odwiedziłem też jego ówczesny dom położony na wzgórzach, skąd widać było wody Zatoki San Francisco. Żałuję niekiedy, że nie mam sposobności, żeby o tym wszystkim pani profesor z wdzięcznością opowiedzieć.

Początek pracy w Wyższej Szkole Inżynierskiej to także ważne wydarzenie w naszym życiu rodzinnym – urodziny pierwszego syna. Pamiętam chwile, kiedy stojąc pod okna szpitala zobaczyłem trzymane przez żonę zawiniątko.

Obowiązujące ówczesnie przepisy dopuszczały pierwsze bezpośrednie spotkanie dopiero w momencie opuszczania szpitala. Aż trudno dziś w to uwierzyć...

Na uczelni spotkałem kolegę, z którym studiowałem we Wrocławiu – Gerarda Brysia. Człowieka dużych zdolności i równie dużej pracowitości. Dziś emerytowanego już wykładowcę Uniwersytetu Zielonogórskiego. Po latach los zetknął nas po raz kolejny. Pracowałem wtedy (przez chwilę) w Urzędzie Wojewódzkim w Gorzowie Wielkopolskim. W Świebodzinie zainicjowano budowę figury Chrystusa. Wojewódzki Nadzór Budowlany zalecił wstrzymanie prac, uzasadniając to względami bezpieczeństwa. Zwołałem w tej sprawie naradę i po usłyszaniu argumentów nadzoru zacząłem dopytywać o kwestie związane z projektem i jego autorami. Kiedy okazało się, że za sprawy związane z konstrukcją współodpowiada doktor inżynier Bryś, nie miałem cienia wątpliwości co do staranności i poprawności realizowanego projektu. Z nieświadomym niczego Gerardem wiąże się także pewne wydarzenie z okresu wprowadzonego w grudniu 1981 roku stanu wojennego. W trakcie jego trwania jechałem „maluchem” z wizytą do Brysiów. Z małym wówczas synem w aucie i z egzemplarzami powielanej nielegalnie paryskiej „Kultury” w bagażniku. Pech chciał, że na ulicy Wojska Polskiego próbował zatrzymać mnie patrol milicji. Nie zatrzymałem się, po dłuższej chwili zostałem dogoniony. Tłumaczyłem się niezrozumieniem kierowanych do mnie sygnałów świetlnych. Konsekwencje późniejsze były poważne, choć cud jakiś i tak mnie uchronił – milicjanci nie zbadali zawartości bagażnika.

Moja aktywność naukowa związana była z badaniem wpływu zjawisk zachodzących w betonie z upływem czasu na stan konstrukcji zespolonych ze stali i betonu. Opiekunem naukowym i promotorem mojego doktoratu, obronionego na Politechnice Wrocławskiej, był profesor Tadeusz Biliński. Ważnym wydarzeniem był dla mnie w tamtym czasie wybór do senatu uczelni, gdzie już jako adiunkt reprezentowałem tzw. młodą kadrę naukową.

W sferze poglądów politycznych dzieliło nas z profesorem Bilińskim wszystko. A mimo to nasze relacje nie były

nacechowane niechęcią. Pamiętam, jak już w latach osiemdziesiątych z jakiegoś zawodowego powodu z dwoma jeszcze kolegami pojechaliśmy do Warszawy i spotkaliśmy się z profesorem w budynku Sejmu. Bo już wtedy Tadeusz Biliński był posłem. Zapewne nie myślałem, że ta budowla stanie się w przyszłości także moim miejscem pracy. I że niekiedy, już w wolnej Polsce, będzie mi dane podróżować z profesorem nocą we wspólnym przedziale pociągu wiozącego nas na posiedzenia tzw. sejmu kontraktowego. Był to już czas, kiedy uczyliśmy się rozmontowywać barykady...

Mój udział w polityce

to w dużej mierze efekt członkostwa w Klubie Inteligencji Katolickiej. Do klubu wstąpiłem po rozmowie z ówczesnym wikarym naszej parafii, który odwiedził nas po kolędzie. Mieszkaliśmy wówczas przy ulicy Feliksa Dzierżyńskiego i należeliśmy do parafii Najświętszego Zbawiciela. Ów wikary to ksiądz Edward Dajczak, późniejszy biskup koszalińsko-kołobrzegi. W klubie omawialiśmy wiele kwestii związanych z życiem Kościoła i toczącymi się w nim dyskusjami. Jedną z przygotowanych przeze mnie klubowych debat dotyczyła osoby i dzieła francuskiego jezuita, filozofa i teologa Teilharda de Chardina, który jako zwolennik teorii ewolucji próbował nadać jej znaczenie filozoficzne w duchu chrześcijaństwa. Dziesiątki lat budziło to silny opór Kościoła. Kiedy o tym myślę, zastanawiam się, skąd wziąłem odwagę, by mierzyć się z tą problematyką.

KIK był też miejscem względnie wolnej wymiany poglądów na sprawy społeczne, ale też i polityczne. Pamiętam, że przed wyborami do rad narodowych w 1988 roku dyskutowaliśmy o konieczności ich bojkotu, co chyba powiodło się w skali całego kraju. Po raz pierwszy w historii PRL frekwencja wyborcza wyniosła zaledwie nieco powyżej 50 procent. A przynajmniej do tyłu władze się przyznały. W klubie poznałem wielu ludzi, którzy później niezwykle aktywnie uczestniczyli w życiu publicznym nowo budowanej demokratycznej Polski. Jak choćby senator Stanisław Iwan czy, nieżyjący już niestety, pierwszy przewodniczący sejmiku wówczas jeszcze województwa zielonogórskiego Jerzy Opęchowski. Powstaniec warszawski, człowiek dużego poczucia humoru, przy tym namiętny palacz papierosów. Będąc już dojrzałym mężczyzną, zwykł był mawiać, że w jego wieku dopuszczalne jest wpadanie na papierosa nawet do damskiej toalety.

Kiedy w 1975 roku osiadłem w Zielonej Górze, z radością stwierdziłem, że działa tu filharmonia. Nie znałem wtedy historii budynku, który był siedzibą tej instytucji. Chadzałem na koncerty w sali, gdzie w niektóre dni, z racji na zbyt wysoką temperaturę, otwierano okna. I pamiętam chwile, kiedy orkiestra i ptaki siedzące na sąsiadujących z budynkiem kasztanach unisono wykonywały skomplikowane figury skrzypcowe. Miało to niepowtarzalny urok, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczałem we Wrocławiu. Dyrektorem filharmonii był Kazimierz Morski, dyrygent i pianista. Bywało, że zasiadał za fortepianem, równocześnie dyrygując orkiestrą. A na sali zwykle zajmowała miejsce Anna Tokarska, poetka. Znałem ją tylko z widzenia, niestety. Po latach, już jako wojewoda, zainicjowałem, kontynuowaną przez moich następców, rozbudowę filharmonii kierowanej przez Czesława Grabowskiego. I zanim rozstałem się z Zieloną Górą, miałem przyjemność wysłuchać w nowej już sali koncertu dyrygowanego przez

maestro Marka Pijarowskiego. Przypomniałem sobie, jak będąc studentem, siadywałem na schodach Filharmonii Wrocławskiej, żeby posłuchać koncertów prowadzonych przez rozpoczynającego wówczas życie zawodowe młodziutkiego dyrygenta Pijarowskiego.

O historii budynku filharmonii dowiedziałem się dużo później. Mówił mi o niej senator Walerian Piotrowski, który będąc młodym adwokatem angażował się w obronę uczestników Wydarzeń Zielonogórskich. Jak się wydaje, ten bunt mieszkańców miasta przeciwko decyzjom ówczesnych władz komunistycznych wciąż jest zbyt mało w Polsce znany. A w pełni na to, jak sądzę, zasługuje.

Nie mogę też pominąć znaczenia w moim wrastaniu w miasto roli teatru, wówczas jeszcze imienia Leona Kruczkowskiego. Kiedy znalazłem się w Zielonej Górze zarządzał nim Ryszard Żuromski. I był to teatr tak silnie związany z młodzieżą studencką, tak otwarty na dialog i spór z ludźmi młodymi, że wsiąknął weń całkowicie. A przecież przyjechałem z Wrocławia. Miasta wystawianych dramatów Różewicza czy Becketta. Jak choćby „Końcówka” z Mają Komorowską w roli Hamma. Z teatrem zaprzyjaźniłem się pewnie jeszcze bardziej w okresie wojewodowania. Kierowali nim Waldemar Matyszewski i Jan Tomaszewicz. Do dziś myślę z podziwem o ich młodzieńczej energii i kreatywności. I pięknych spektaklach, które starali się pokazywać już nie tylko w mieście czy województwie, ale w całej Polsce i niekiedy nawet poza krajem.

Początki mego zaprzyjaźniania się z Zieloną Górą to przecież także nocne imprezy w ówczesnym Bachusie, gdzie bywałem najczęściej z moimi gośćmi z Wrocławia w czasie Winobrań. Rzec by można – ach, te bachusowe noce. Zostały w pamięci jak owe niegdysiejsze śniegi. To festiwale folklorystyczne i wypadki do Raculki (bo próbowałem pobierać w tamtejszym ośrodku lekcje jazdy konnej), gdzie czasem moi wrocławscy przyjaciele pomieszkowali. Pamiętam jeden z późnych nocnych powrotów do domu po długim rozstawaniu się okraszonym różnorodnymi trunkami. Jechałem na rowerze i jeszcze przed cmentarzem na ulicy Wrocławskiej nogawka spodni wkręciła mi się tak nieszczęśliwie w łańcuch, że nie byłem w stanie sam sobie z tym poradzić. Próbowałem zatrzymać któryś z przejeżdżających z rzadka samochodów, niestety bezskutecznie. Po mocno już długiej chwili nadjechało auto Milicji Obywatelskiej. Ci zatrzymali się i uznali, że jedyny ratunek to obcięcie części nogawki. Dobrze że tylko na tym się skończyło...

Jak już mowa o festiwalach, to muszę się przyznać, że na Festiwalach Piosenki Radzieckiej nie bywałem. I nawet nie wiem dlaczego. Po latach, kiedy zostałem wojewodą, musiałem zdecydować, co z nimi ma dalej być. Uznałem, że nic, po prostu. Tym sposobem impreza w roku 1990 umarła razem z zależnością PRL od ZSRR. Ale wciąż słucham przecież piosenek Michała Bajora, laureata tego festiwalu z 1973 roku. Wtedy w Zielonej Górze jeszcze mnie nie było.

Zielona Góra – kameralne miasto, istotne centrum nauki i sztuki. Spędziłem w nim sporo lat. Tu urodzili się nasi synowie, osiągnąłem przyzwoity status zawodowy, aktywnie uczestniczyłem w życiu publicznym. Moja żona, urodzona wrocławianka, kiedy odwiedzamy Zieloną Górę, już teraz jako mieszkańcy Wrocławia, mawia, że tu właśnie czuje się jak w domu. Że brzmi to sentymentalnie? Mimo to całkowicie z nią się zgadzam.

Marek Herejczak

Jak rodził się studencki ośrodek jeździecki

Spośród aktywności studenckich początku lat 70. XX wieku wyróżniającą się jest ta, która dała asumpt do stworzenia podwalin pod Akademicki Klub Jeździecki. Koniarze, jak ich nazywano, uaktywnili się w wakacje 1969 roku, kiedy to w Dłusku miały miejsce Wakacje w siodle.

Zrodził się wówczas pomysł, by stworzyć w Zielonej Górze sekcję jeździecką przy AZS Wyższej Szkoły Inżynierskiej. Miała ona w zamyśle „popularyzację sportu jeździeckiego, naukę jazdy konnej oraz organizowanie rajdów bryczkowych dla studentów”. Szeroko pojęte władze nieoficjalnie niechętnie podchodziły do tego zamiaru. Uważano, że koniarstwo to domena panów, jaśniepaństwa, i nie przystoi do koncepcji socjalistycznego społeczeństwa, a tym bardziej do zawodu wykonywanego przez inżyniera.

Stajnie w Starym Kisielinie i Nowym Kisielinie

Jak można się dowiedzieć się z artykułu opublikowanego w nr. 1 jednodniówki „Środowisko” (grudzień 1971 r.), studenci tworzący podwaliny uczelnianego jeździectwa, a byli to między innymi Adam Dygas, Jan Kubczyk, Juliusz Łunkiewicz, Stanisław Malinowski, Grzegorz Wiszniewski, Jerzy Jagiełło, Janusz Peliński, Henryk Boroch, wystali pisma do wszelkich podmiotów, które mogłyby pomóc w utrzymaniu koni. Przyszło kilka odpowiedzi pozytywnych. Na przykład siodło otrzymali z Państwowego Stada Ogierów w Książu koło Wałbrzycha. Trzy konie sportowe kupili w państwowych gospodarstwach rolnych w Dłusku i Żukowicach koło Głogowa za wypracowane przez żaków pieniądze. O dwóch pierwszych wiemy, że nazywane były Dandys i Zoja. Początkowo popasały przy leśniczówce w Starym Kisielinie.

– Przeżyliśmy tam cztery miesiące w trudnych warunkach – wspomina jeden z twórców klubu (nazwisko do wiadomości autora). – Było nas niewielu. Dyżury wypadały często, bo koni doglądaliśmy sami. Wstawaliśmy o wpół do szóstej, aby zrobić to, co trzeba i nie spóźnić się na zajęcia i wracaliśmy późnym wieczorem.

Trenerem sekcji był Jan Maciejak, zwany później Majorem. To on od początku wspierał pasjonatów z AKJ wiedzą jeździecką i wdrażał w specyfikę koniarstwa, w czym pomagała także małżonka Anna. Opiekunem, mecenasem, siłą sprawczą był mgr inż. Jan Hołowiński, nota bene współtwórca AKJ Wrocław. W tamtym okresie przy jeździectwie „kręciło się” 35 osób, wśród nich 20 jeźdźców. Każdy trenował z koniem po około cztery godziny tygodniowo.

Kolejnym miejscem, gdzie trzymano konie, była stajnia należąca do PGR w Nowym Kisielinie. Tam latem 1970 r. w ramach pracy zarobkowej grupa studentów pracowała przy gromadzeniu paszy dla koni i na poczet dalszej możliwości korzystania z wynajętego pomieszczenia.

– AKJ był samowystarczalny i sam zarabiał na siebie, bez wsparcia uczelni czy AZS-u. Stąd latem obozy jeździeckie powiązane z pracą na rzecz PGR-ów. Pierwszy obóz letni odbył się w PGR w Starym Kisielinie. Pracowaliśmy w czasie żniw, otrzymując w zamian wynagrodzenie oraz miejsce dla koni i paszę za darmo. Dodatkowo wypożyczano nam zbędne konie na czas obozu. Obóz działał na zasadzie, że pracowała na przemian połowa uczestników, a reszta miała wolne i jeździła konno. I na odwrót. Dziewczyny organizowały całodzienne wyżywienie korzystając z kuchni PGR-u – wspomina A. Dygas.



Spotkanie członków Akademickiego Klubu Jeździeckiego w 1978 r. Z prawej doc. dr inż. arch. Tadeusz Maszkiewicz.

Członkowie sekcji brali udział w organizowanym wspólnie z AKJ Wrocław IV Akademickim Rajdzie Konnym po Ziemi Lubuskiej.

Uruchomienie Akademickiego Ośrodka Jeździeckiego „Końska Polana” miało miejsce w 1976 r. w ramach obchodów dziesięciolecia WSI.

Kolejnym polem kreatywności „koniarzy” było powołanie sekcji powozowej. W 1971 r. pozyskano z rąk prywatnych dwa powozy (bryczkę kupioną za 200 zł od dziadka Studzińskiego z Górzyna) i brek myśliwski. Oba wymagały remontu i naprawy, co członkowie klubu wykonali we własnym zakresie. By zapoczątkować popularyzację dyscypliny sportowo-turystycznej, zorganizowano latem I Bryczkowy Rajd po Ziemi Lubuskiej. Przez miesiące wakacyjne przebywano w folwarku Leśna Góra

w ramach Wczasów w siodle, które połączone były z pracami przy żniwach.

Tabor studencki dotarł również na organizowaną przez Radę Uczelnianą Zrzeszenia Studentów Polskich WSI we wrześniu 1971 r. ogólnopolską Inaugurację Studenckiego Roku Kulturalnego 1971/72 w Łagowie.

– Mieliliśmy swój wóz taborowy z plandeką, a na niej napis „Koniem bliżej”. Tym wozem wraz z ekipą jeździecką pojechaliśmy do Łagowa w sile siedem, osiem koni obsługiwać Lato Kulturalne Studentów. Na tej imprezie występował zespół Anawa z Markiem Grechutą, Sami Swoi, grupa jazzowa Osjan. Woziliśmy ich na odkrytym wozie koncertujących na ulicach Łagowa przed wieczornymi występami. Była również na imprezie Magda Umer, zachwycona naszą działalnością. Pojazdy „koniarzy” były także wykorzystane w orszaku słynnego ślubu studenckiego państwa Kołłątajów, którzy podjechali nimi pod zielonogórski ratusz 13 maja 1972 roku – wspomina A. Dygas.

Budowa ośrodka w Raculce

Aktywna działalność jeździecka, budowanie doświadczeń i chęć ich profesjonalizacji miały wpływ na potrzebę stworzenia własnej bazy i siedziby. W 1973 r. poczyniono przygotowania do budowy ośrodka od podstaw.

W przygotowania do budowy zaangażowało się wiele osób, w pierwszej kolejności oczywiście studenci sekcji jeździeckiej przy szerokim wsparciu osób pełniących funkcje publiczne i instytucji. Przy ich pomocy wykupiono z Państwowego Funduszu Ziemi 2 ha gruntu w Raculce, wtedy nienależącej do Zielonej Góry, leżącego o około 2,5 km od obiektów WSI.

Na tym dziewiczym terenie trzeba było zorganizować wszystko, co potrzebne do uprawiania jeździectwa i utrzymania zwierząt, a więc wytyczyć drogę, doprowadzić media i wydrążyć studnię. Osobą, bez której nie byłoby szansy stworzenia uczelnianej bazy jeździeckiej, jest niewątpliwie J. Łunkiewicz, znany szerzej jako Unkas. Ówczesny student WSI wspomina, że wszystko co niezbędne do budowy trzeba było zorganizować, od cementu, poprzez drewno i stal po załatwienie formalności. Przypomina takie zdarzenie. Przyjechał samochód załadowany cegłami, które należało szybko rozładować, a robotników nie było. J. Łunkiewicz poszedł do Studenckiej, baru przy skrzyżowaniu Podgórznej i Lwowskiej, gdzie spodziewał się spotkać studentów. Tam ich przekonał do pomocy przy przeładunku. Zresztą to nie było tylko raz. Można powiedzieć, że w ten sposób, tzn. spontanicznie wykonano wiele prac budowlanych i transportowych.

Nie bez znaczenia były liczne akcje na terenie uczelni, które miały pomóc finansowanie „Raculki”. Organizowano „bale końskie”, pracowano przy żniwach, w ramach prac zleczanych Studenckiej Spółdzielni „Grono” myto dworce kolejowe i autobusowe. „Koniarze” jeździli do odlewni żeliwa w Przemkowie usuwać pyły przemysłowe. Do pomocy włączyły się zielonogórskie przedsiębiorstwa z branży budowlanej i transportowej. Pomogły władze uczelni, PGR w Nowym Kisielinie, spółdzielnia pracy „Grono”, Socjalistyczny Związek Studentów Polskich i jego agenda Biuro Podróży i Turystyki „Almatur”, późniejszy formalny zarządca bazy.

Autorem projektu budowy ośrodka był dziekan wydziału budownictwa doc. dr inż. arch. Tadeusz Maszkiewicz. Pod jego nadzorem pracowali studenci: Wojciech Górnzy, Bronisław Zadwórny, Eugeniusz Rybarczyk i mgr Jerzy Śladowski oraz Czesław Szymczyk. Projekt, realizacja i nadzór nad budową wnętrza, mebli i innego wyposażenia opracowała artysta plastyk Halina Maszkiewicz. Także zaprojektowała „Stacjonata”, mozaikę zdobiącą salę klubową ośrodka. Trzeba dodać, że wszelkie prace wykonywano tzw. systemem gospodarczym. Źródła podają, że w ciągu czterech lat tworzenia bazy jeździeckiej przewinęło się przez nią około 600 studentek i studentów, pracujących zarówno w ochotniczych hufcach pracy, jak i podczas praktyk, np. geodezyjnych.



Uczestnicy obozu w Leśnej Górze w 1971 r.

foto. Archiwum autora

Uruchomienie Akademickiego Ośrodka Jeździeckiego „Końska Polana” miało miejsce w 1976 r. podczas obchodów dziesięciolecia WSI. Matką chrzestną ośrodka była małżonka dziekana, H. Maszkiewicz.

Budynek posiadał stajnię z okólnikami dla 12 koni. Poddasze było przeznaczone na magazyn paszy. Zaplecze socjalne to pokoje sypialne i mieszkanie dla masztalera oraz klub z kominkiem, nazwany później Unkas.

– W Polsce akademickie kluby jeździeckie bazowały w swojej działalności na stadninach i państwowych stadach ogierów, a w województwie zielonogórskim nie było żadnego z takich ośrodków – wspominał J. Maciejak. Jego zdaniem jeździectwo akademickie w Zielonej Górze stało się wzorcem, na którym powstały wszystkie inne ośrodki jeździeckie w województwie.

Od redakcji

W następnym numerze „NW” znajdzie się ciąg dalszy opowieści o „Raculce”.

Grzegorz Wanatko

Żużel w Winnym Grodzie to symbol popkultury

Sukcesy sportowe sprawiły, że o ZKŻ mówiła cała Polska. Funkcjonowanie klubu to wydarzenie społeczne. W 2003 roku w sali Kolumnowej urzędu marszałkowskiego zorganizowano pierwszą prezentację drużyny, co zapoczątkowało nową tradycję. Udany marketing sprawił, że Falubaz stał się ogólnopolską marką.

Okres transformacji ustrojowej zielonogórcy kibice żużla przywitali z mieszanymi uczuciami. Rok 1989 żużlowcy zamknęli zdobyciem srebrnych krążków, ale kolejny sezon to kres wsparcia państwowych firm i widmo spadku z ekstraklasy. Pieniądzy zaczęło brakować na podstawowy sprzęt. Sportowcom groziły mirabelki i szczaw, a tymczasem uratowały ich grzyby i jagody.

W 1991 r. przy Wrocławskiej powiało Ameryką w osobie biznesmena Zbigniewa Morawskiego, którego działalność związana była także z handlem runem leśnym. Od tej pory na W69 bywało nadzwyczaj barwnie, żużlowcy brylowali w „amerykańskich” skórkach, w parku maszyn był nowy sprzęt, a dla zielonogórczan jeździły gwiazdy speedwaya Lars Gunnestad i Jimmy Nilsen i tylko złośliwi mówili o farmerze z Norwegii. Klub zdobywał Drużynowe Mistrzostwo Polski, a przez Winny Gród niosła się pieśń „We are the champions, panie Morawski”. Przyszłość wydawała się w kolorowych barwach i ktoś by mógł przypuszczać, że na następny brązowy medal DMP miejscowi kibice będą musieli czekać do 2008 r.?

Kolejny sezon to był początek chudych lat. Wprawdzie na stadionie kibice siadali na pamiątkowych poduszkach z napisem „KS Morawski Mistrz Polski”, nucili przeboje Lombardu czy Kombi, jednak w Polsce nie mówiło się o wynikach zespołu, ale o pozasportowej działalności jego zawodników. Dwóch złotych medalistów (Marek Molka i Zbigniew Błajejczak) trafiło do więzienia za zabójstwo. Klubowej tragedii dopełniła śmierć dwóch zawodników na torze. Podczas zawodów zginęli Andrzej Zarzecki i Artur Pawlak. Tor w Zielonej Górze stał się najbardziej tragicznym w kraju – na przełomie kilku lat zginęło tu czterech zawodników. Całości dopełniła zapaść finansowa i w 1994 r. klub opuścił szereg najwyższej klasy rozgrywkowej.

Kolejne kilkanaście lat zielonogórskiego żużla to balansowanie pomiędzy I a II ligą. Rozpoczął się także proces częstych zmian nazwy. W 1995 r. klub przystąpił do rozgrywek pod szyldem ZKŻ Polmos-Beram. W kolejnym z zielonogórczanami pozostał tylko Polmos. Zjawisko to spowszedniało nie tylko w zielonogórskim żużlu.

Mimo regresu klub szkolił kolejnych zawodników. Na początku lat 90. swoją przygodę rozpoczęli Piotr Protasiewicz. W ostatniej dekadzie XX wieku kariery zawodnicze rozpoczęli Grzegorz Walasek i Dawid Kujawa, który w 2001 r. sięgnął po tytuł Indywidualnego Mistrza Świata Juniorów. Wyczyn ten w 2013 r. powtórzył Patryk Dudek. Sukcesy pojedynczych zawodników nie przerwały jednak marazmu, a także sportowych tragedii – w 2004 r. śmiercią samobójczą zginął Ra-



fał Kurmański. Do połowy pierwszej dekady nowego wieku żużlowcy spod znaku Myszkki Miki ze zmiennym szczęściem toczyli boje na ekstraklasowym i pierwszoligowym szczeblu rozgrywek.

W tym okresie klubowe stery objął młody i energiczny Robert Dowhan. Do zespołu wrócili wychowankowie klubu, najpierw G. Walasek, a kilka sezonów później P. Protasiewicz.

Na tory wkroczyła także nowa fala zdolnej młodzieży, wśród nich Grzegorz Zengota i P. Dudek. Klub zyskał możnego mecenasa – Stelmet, choć po kilku sezonach powrócił do legendarnej nazwy Falubaz. Z punktu sportowego był to jest najlepszy okres w dziejach żużlowej drużyny. Przez kilka lat zawodnicy spod znaku Myszkki Miki nie schodzili z „pudła” DMP, a w 2009, 2011 i 2013 r. zdobywali złote krążki. Do annałów przeszedł zwłaszcza finał z 2009 r., gdy klub bardziej niż z przeciwnikiem musiał walczyć o przygotowanie toru, a symbolem suszenia toru było palenie na nim opon.

fot. Marcin Raba



Prezentacja osiągnięć zielonogórskich żużlowców w Muzeum Ziemi Lubuskiej

Sukcesy sportowe sprawiły, że o ZKŻ mówiła cała Polska. Funkcjonowanie klubu to wydarzenie społeczne. W 2003 r. w sali Kolumnowej urzędu marszałkowskiego zorganizowano pierwszą prezentację drużyny, co zapoczątkowało nową tradycję. Udany marketing sprawił, że Falubaz stał się ogólnopolską marką. Na stadionie znowu bywali celebryci i gwiazdy. W mieście roztaczała się magia, by nie rzec świętość Falubazu. I nawet świebodziński Jezus dał się porwać rykom silnika i przybrał klubowy szalik. Zresztą o innych wybrykach zielonogórskich kibiców było dość głośno w kraju. Niektóre były dobrze przyjęte, jak brawurowa akcja z sektorówką na stadionie Stali w Gorzowie. Niestety pojawił się także negatywny obraz sportu żużlowego – niepokoje społeczne w mieście, do których doszło w związku ze śmiercią kibica w trakcie mistrzowskiej fety.

Skoro sport żużlowy w Zielonej Górze stał się niemal religią, nie dziwiła jego obecność w instytucjach kultury. Wątki dotyczące żużla pojawiały się w Biurze Wystaw Artystycznych czy Muzeum Ziemi Lubuskiej. Żużel w Winnym Grodzie to symbol współczesnej popkultury. Schyłek drugiej dekady XXI wieku, to okres gdy zielonogórski żużel ponownie zsunął się ze szczytu. Słabsze wyniki sportowe skutkowały spadkiem do I ligi, a rywalizacje ze spotkań z najlepszymi żużlowcami zielonogórzanie mogą śledzić co najwyżej podczas derbowego wydania w „Familiadzie”. Pozostaje mieć nadzieję, że kolejne spotkanie z rywalami zza miedzy odbędzie się na torze przy W69, a nie w programie telewizyjnym.

Od redakcji

Czy w następnym numerze zamieścimy czwartą część o zielonogórskim żużlu, tego jeszcze nie wiemy. Zrobimy to pod warunkiem, że drużyna awansuje do najwyższej klasy rozgrywek.

Lechia – Legia 0:3

28 lutego na zielonogórskim stadionie przy ul. Sulechowskiej odbył się ćwierćfinałowy mecz o Puchar Polski. Piłkarze trzecioligowej Lechii Zielona Góra grali z futbolistami ekstraklasowej Legii Warszawa. Mimo przegranej lechicy zasłużyli na długie brawa.

Władze zielonogórskiej Lechii chciały, żeby mecz z warszawską Legią obejrzało 5 tysięcy kibiców, a nie maksymalnie 999. Prawo zalicza taki mecz do imprez masowych i nakłada na organizatorów dodatkowe obowiązki. Stadion przy ul. Sulechowskiej, gdzie dotąd Lechia podejmowała rywali, nie jest przygotowany na przyjęcie większej grupy oglądających mecz. Mimo iż organizatorzy dwoili się i troili, żeby dopasować warunki na obiekcie do wymogów, policja miała dużo uwag. Chodziło na przykład o zamontowanie dodatkowych zabezpieczeń. Między innymi trzeba było dodać kamer do monitorowania stadionu. Na poboczu stanęła nawet przenośna trybuna, na której były miejsca dla 1124 kibiców. Gdyby organizatorzy tego nie zrobili, mecz zostałby rozegrany poza Zieloną Górą, na przykład w Lubinie, co z punktu widzenia zielonogórskich kibiców nie miało sensu. Dopiero 10 dni przed terminem spotkania prezydent miasta uznał, że stadion przy ul. Sulechowskiej spełnia wymogi do przeprowadzenia imprezy masowej.

Faworytem była drużyna ze stolicy. W Lechii nie grali ci wszyscy, którzy doprowadzili zespół do ćwierćfinału Pucharu Polski. Zielonogórzanie przegrali 0:3 (0:2), co raczej nikogo nie zaskoczyło. Legia to przecież czołowy zespół ekstraklasy, 19-krotny zdobywca Pucharu Polski i 15-krotny mistrz kraju.

Warto przypomnieć, że zanim zielonogórzanie dotarli do ćwierćfinału Pucharu Polski, pokonali pierwszoligowe Podbeskidzie Bielsko-Biała 2:1 oraz ekstraklasowe Jagiellonię Białystok 3:1 i Radomiaka Radom 0:0 (w rzutach karnych 3:1).

W 1987 r. Lechia również dotarła do ćwierćfinału Pucharu Polski. W walce o półfinał u siebie wygrała z ŁKS Łódź 2:1, a na wyjeździe przegrała po dogrywce 1:4 (w regulaminowym czasie było 1:2).

Okolo 5 tysięcy kibiców na stadionie oznacza, że zielonogórzanie lubią nie tylko żużel, koszykówkę, strzelectwo, pięciobój nowoczesny, tenis stołowy, ale i piłkę nożną. Może Lechia uda się awansować do wyższej ligi, a wtedy będzie trzeba zbudować taki stadion, na którym będą się mogły odbywać imprezy masowe. Na razie powstała hala pneumatyczna.

(S)

1,5%

Przeznacz 1,5 proc.

Każdy może wesprzeć Stowarzyszenie Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, przekazując 1,5 proc. podatku za

2022 r. za pośrednictwem Związku Lubuskich Organizacji Pozarządowych. W składanym do 2 maja br. zeznaniu podatkowym w rubryce 172, gdzie jest pytanie o numer KRS, proszę wpisać 0000169865, w rubryce 173 – podać wyliczoną kwotę i w rubryce 175 Cel szczególnie – wpisać nazwę naszego stowarzyszenia.

Od jesieni do wiosny

Kapituła powołana przez nasze stowarzyszenie wyróżnia osoby i instytucje statuetką Przyjaciół Zielonej Góry. W 2022 roku laureatami zostali: historyk prof. dr hab. Hieronim Szczegółka i Muzeum Ziemi Lubuskiej. Uzasadniając decyzję kapituły, prezes stowarzyszenia Ryszard Błażyński powiedział, że 57 lat temu prof. Szczegółka znalazł się wśród tworzących podwaliny pod zielonogórskie środowisko naukowe. Był rektorem Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Wypromował 16 doktorów. Napisał 30 książek naukowych i popularno-naukowych, między innymi „Zielona Góra. Rozwój miasta w Polsce Ludowej”, „Zielona Góra – zarys dziejów” (wspólnie z Joachimem Benyskiewiczem). Jest Honorowym Obywatelom Zielonej Góry. MZL jest instytucją, która w 2022 r. świętowała swoje stulecie. Kapituła uhonorowała je statuetką „za konsekwentne budowanie poczucia tożsamości społeczeństwa z miejscowym dziedzictwem kulturowym, a także za wysoki poziom wystaw oraz wydarzeń artystycznych, będących świadectwem potencjału kulturowego miasta”.

W 2022 r. nasze stowarzyszenie zorganizowało dziewięć spotkań z okazji 800-lecia miasta i 700-lecia nadania praw miejskich. Odbywały się one raz w miesiącu (od kwietnia do grudnia) przy dużym zainteresowaniu zielonogórczyków. Gośćmi byli autorzy najnowszej monografii miasta, pracownicy Uniwersytetu Zielonogórskiego i badacze przeszłości zatrudnieni w innych instytucjach oraz dziennikarze. Cykl otworzyło spotkanie z dr. Bartłojem Gruszką, prezesem Fundacji Tłocznia, który odpowiadał na pytania dotyczące archeologii, zamknęła rozmowa historyków profesorów Czesława Osękowskiego i Wojciecha Strzyżewskiego dotycząca najnowszych dziejów miasta. Wszystkie spotkania, sfinansowane z miejskiego budżetu, odbywały się w sali Witrażowej Muzeum Ziemi Lubuskiej. Zdjęcia na str. 39.

W 1967 r., po studiach plastycznych na uniwersytecie toruńskim, Adam Bagiński osiadł w Zielonej Górze. Z okazji jubileusza 55-lecia prowadzenia działalności artystycznej w Winnym Grodzie w grudniu 2022 r. biblioteka im. Norwida pokazała jego najnowsze prace „Ku innej przestrzeni”. Na wystawie zgromadzono 34 obrazy olejne, większość pejzaży w tonacji błękitnej, co wywołało pytania zwiedzających, i 33 akwarele. „Malowanie jest dla mnie formą wypowiedzi wynikającą z potrzeby społecznej – twierdzi artysta. – Przywołuję w pamięci sytuacje związane z przeżytych miejscem i pejzażem. W nawiązaniu do tych wspomnień i przeżyć powstają kompozycje o zróżnicowanym natężeniu emocjonalnym. Dla mnie pejzaż jest zjawiskiem wielu form i stanów skupienia materii. W zależności od nastroju szukam odpowiednich form linii oraz przestrzeni malarskiej dla osiągnięcia emocjonalnego wyrazu kompozycji”.

W grudniu 2022 r. w galerii Oria Magic House, w samym centrum Gdańska, nad Motławą, odbyła się wystawa prac zielonogórczyk Izabeli Sak. W informacji

o autorce organizatorzy napisali, że absolwentka Uniwersytetu Zielonogórskiego to „wybitna polska malarka”, tworzy „niesamowite dzieła”. Ma w swoim dorobku ponad 50 wystaw indywidualnych i około 50 zbiorowych. Na początku 2023 r. artystka odebrała nagrodę szóstej edycji międzynarodowego konkursu Animals, przyznana przez National Gallery w Los Angeles, i certyfikat Luxembourg Art Prize, przyznany przez luksemburskie The Pinacothèque Muzeum.

Warszawskie wydawnictwo Czarna Owca wydało powieść Przemysława Piotrowskiego „Prawo matki”. Część akcji dzieje się w Zielonej Górze. Książka ukazała się w wersji papierowej, elektronicznej i jako audiobook. Powieść „Bagno” tego autora była nominowana w plebiscycie Książka Roku portalu Lubimyczytać.pl.

Nasze stowarzyszenie wydało opowieść Aleksandry Kurzawy „Przypadki pewnego konia”. Książka ukazała się w serii Debiuty Winnicy. Drugą pozycją, która ukazała się w naszym wydawnictwie pod koniec 2022 r., jest zbiór wierszy „Bumerang” Haliny Jerulank.

Maria Wasik otrzymała nagrodę honorową Stowarzyszenia Gmin RP Regionu Kozła „za wieloletnią działalność na niwie kultury, upowszechnianie czytelnictwa oraz wspieranie aktywności pisarskiej w Regionie Kozła”.

W 2008 r. Ryszard Błażyński został wyróżniony nagrodą im. Eryka Lipińskiego, tzw. Małym Erykiem, przyznana przez Stowarzyszenie Polskich Artystów Karykatury. W 2018 r. ta sama organizacja uhonorowała prezesa TMZG „W” statuetką Dużego Eryka, najważniejszej i najbardziej prestiżowej nagrody w dziedzinie rysunku satyrycznego, którą odebrał dopiero w 2022. R. Błażyński jest inicjatorem konkursu na rysunek satyryczny organizowanego w Zielonej Górze od 1986 r. i fundatorem jednej z prywatnych nagród. Nagrodę funduje także nasze stowarzyszenie. Małego Eryka otrzymał dr Robert Rudiak, przed laty prezes stowarzyszenia Debiut, które organizowało konkurs na rysunek satyryczny.

Alfred Siatecki został laureatem statuetki Złoty Dukat Lubuski, przyznanej przez marszałka województwa, „za wspieranie i promowanie życia kulturalnego regionu”.

Dr hab. Marta Ruszczyńska z Instytutu Filologii Polskiej UZ otrzymała tytuł profesora nauk humanistycznych w dyscyplinie literaturoznawstwo. Została odznaczona Medalem Złotym za Długoletnią Służbę. Takie samo odznaczenie otrzymała prof. dr hab. Bogumiła Burda z Instytutu Historii UZ.

Poeta, historyk literatury i krytyk literacki dr Robert Rudiak został ponownie wybrany na prezesa zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich.



Spotkania z autorami „Historii Zielonej Góry”

w Muzeum
Ziemi Lubuskiej

fot. Alicja Błażyńska



Mają ten dom na długo czy na krótko?

Dokładnie nie wiadomo, ilu Białorusinów mieszka w Zielonej Górze. Do powstałego w 2020 roku Stowarzyszenia Przyjaciół Białorusi „Nowa Białoruś” należy 60 osób. Na spotkania organizowane przez stowarzyszenie przychodzi kilka razy więcej. Przychodzą również zielonogórzanie.



11 listopada 2022 r. członkowie Nowej Białorusi świętowali na zielonogórskim pl. Bohaterów

Białorusini zawsze przyjeżdżali do Zielonej Góry – do pracy, na studia, w odwiedziny. Potrzebę zorganizowania się odczuli dopiero po wyborach prezydenta Białorusi w 2020 r., kiedy komisja wyborcza podała, że Aleksandr Łukaszenka uzyskał 80,1 proc. głosów, a Swiatłana Cihanouska – 10,1. Zaraz po tym Alena Kot zainicjowała powołanie stowarzyszenia, któremu przewodzi od 27 października 2020 r.

– Nasze stowarzyszenie nie jest organizacją polityczną – zaznacza A. Kot. – Nie znaczy to, że zgadzamy się z wynikami ostatnich wyborów prezydenckich i z tym, co się dzieje w Białorusi.

Nie wszyscy Białorusini żyjący w Zielonej Górze należą do stowarzyszenia. Na spotkania w siedzibie przychodzi ich tyle, że spora sala jest pełna. Przychodzą przede wszystkim dlatego, że chcą porozmawiać w swoim języku, opowiadać, dzielić się wrażeniami. I jednocześnie robią wszystko, żeby o nich nie było za głośno. To w trosce o swoich bliskich, którzy pozostali w Białorusi.

Wśród członków stowarzyszenia najwięcej jest białoruskich pracowników zielonogórskich firm. Do organizacji należy dużo mniej studentów uniwersytetu niż można się spodziewać. Ci Białorusini, którzy wybierają

studia w Polsce, najczęściej kształcą się w Warszawie, Gdańsku, Krakowie. Nie znaczy to, że nie ma chętnych do studiowania w Zielonej Górze, na przykład medycyny, tyle że nie wszystkich stać na pokrycie kosztów nauki. Stowarzyszenie stara się pomagać rodakom, ale jego możliwości są ograniczone.

Swoje zadania Nowa Białoruś realizuje poprzez organizowanie wieczorów białoruskich w Piekarni Cichej Kobiety i w swojej siedzibie. Organizuje spotkania z mieszkańcami Białkowa w gminie Cybinka, gdzie istnieje Stowarzyszenie Miłośników Polesia i Białkowa

prowadzące izbę muzealną z pamiątkami z Polesia i coroczną imprezę „Jak to dawniej z chlebem było”. Zarządowi stowarzyszenia chodzi o to, żeby najmłodszym Białorusinom przekazać wiedzę o kulturze, obyczajach i historii stron ojczystych, a nikt tego lepiej nie zrobi niż ci, którzy po 1945 r. zostali przesiedleni na zachodnie ziemie Polski. Trudno sobie wyobrazić okres bożonarodzeniowy bez prezentów od Mikołaja, z czego najbardziej cieszą się dzieci.

Stowarzyszenie może liczyć na pomoc finansową urzędu marszałkowskiego, zielonogórskiego magistratu, Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód. W ubiegłym roku tak mocno nie zabiegało o pieniądze, a to dlatego, że zdawało sobie sprawę z tego, że pomocy potrzebują ci, którzy uciekli z Ukrainy przed wojną. W miejscach, gdzie zamieszkali Ukraińcy, Białorusini służyli jako tłumacze i przewodnicy.

Czy ci, którzy są w Zielonej Górze, kiedyś wrócą do Białorusi? A. Kot, która mieszka w Polsce od ośmiu lat i ma Kartę Polaka, tego nie wie. Chciałaby otrzymać polskie obywatelstwo, ale najpierw musiałaby przedstawić urzędnikom zaświadczenie o znajomości języka polskiego, mimo że po polsku mówi poprawniej niż niektórzy posłowie do sejmu. Historii Rzeczypospolitej też można się od niej uczyć.



Spotkanie choinkowe najmłodszych Białorusinów

fol. Archiwum Nowej Białorusi